EPOKA

ROK IV. Warszawa, 20 maja 1937 r. Rok IV, Nr. 10 (89)

Treść numeru:

Postawa wielkich demokracyj

Gdy przed 23 laty po długich wahaniach W. Brytania zerwała ze stanowiskiem nieinterwencji i wobec wkroczenia wojsk Wilhelma II do Belgii przyłączyła się do Francji i Rosji, na pierwszy plan motywów kroku angielskiego wysuwano wzgląd moralny: Anglia nie może pozwolić na pogwałcenie neutralności Belgii, na zerwanie przez Niemcy traktatu, nie może dopuścić do zniszczenia zagwarantowanej podpisem brytyjskim niepodległości Belgii. Później rozszerzono nawet ramy tych motywów: angielscy mężowie stanu mówili wyraźnie, że W. Brytania stanęła do wojny z czwórprzymierzem w obronie wolności i niepodległości małych narodów, w obronie zasad demokracji, samookreślenia narodów.

Byli i są tacy, którzy twierdzili i twierdzą, że w takim postawieniu sprawy tkwi wieczna obłuda chytrego „Albionu", który pokrywa szczytnymi hasłami egoistyczne materialne cele swojej państwowości. Przez takie podawanie w wątpliwość postawy Anglii pomija się całkowicie to, iż zbieżność interesów moralnych, zgodność szczytnych haseł z potrzebami commonwealth'u brytyjskiego w niczym polityce angielskiej nie uchybia. Przeciwnie, dowodzić może najwyżej mądrości i przezorności tej polityki, a bynajmniej nie podważa jej wartości moralnej. Wszak w uczciwej polityce chodzić winno o to, aby interes praktyczny, materialny zgadzał się ze wskazaniami moralności i dobra ludzkiego i przyszłości człowieczeństwa.

Państwa centralne w 1914 roku potrafiły popełnić ten błąd, że umożliwiły W. Brytanii zajęcie stanowiska jednocześnie w obronie swoich interesów i interesów demokracji. Już wówczas państwa te wiedzione przez swoje plany imperialistyczne potrafiły z fatalną dla siebie niezręcznością dowieść Anglii, że Bruksela jest jak gdyby w pobliżu Tamizy, a granica W. Brytanii leży nad Renem. Wynikiem wpojenia tego przekonania w Anglię, a później przez nową serię niezręczności i gwałtów (wojna podwodna i próba wywołania wojny Meksyku z St. Zjednoczonymi) także i w republikę Północnej Ameryki, była klęska mocarstw centralnych, pomimo wycofania się Rosji z wojny.

Obecnie jesteśmy świadkami powtórzenia się takiego splotu wydarzeń... na terytorium Hiszpanii.

Sojusz państw totalnych — Niemiec i Italii — stwarza stopniowo, ale zupełnie wyraźnie taką sytuację, w której W. Brytania i Francja w obronie swoich interesów materialnych stanąć mogą i muszą cał-

kowicie na gruncie obrony haseł wolności i demokracji przeciw gwałtowi, inwazji, zaborczości, ujarzmianiu innych narodów.

Cała t. zw. nieinterwencja polegała na tym, że W. Brytania nie chciała się wtrącać do wydarzeń, jak zdawało się w Londynie, dalekich i co ważniejsze, mogących nie potrącić o najżywotniejsze interesy W. Brytanii. Na fundamencie tej ostrożności angielskiej stanął nieinterwencjonizm rządu Frontu Ludowego we Francji.

Ale totaliści rzymsko-berlińscy potrafili tę wygodną dla nich sytuację powoli przełamać. Sojusz włosko-niemiecki, jak czytaliśmy w prasie, po ostatniej naradzie rzymskiej pp. Göringa i von Neuratha z Mussolinim i hr. Ciano — scementowano na następujących podstawach: wspólny front przeciw Lidze Narodów, przeciw niepodzielności pokoju, przeciw systemowi zbiorowego bezpieczeństwa, przeciw sankcjom, przeciw zobowiązaniom Locarna... Wyliczył ten komentarz same „przeciw", dodajmy doń jeszcze „za", a więc za interwencją w Hiszpanii, za niedopuszczeniem do wskrzeszenia niezależności Abisynii, za zagrożeniem bezpieczeństwa Czechosłowacji i za... rewizją klauzul terytorialnych traktatu wersalskiego.

Pierwsze z tych „za" wskazują punkt newralgiczny, przez który nowi sprzymierzeńcy dotarli do wyprowadzenia lwa brytyjskiego ze spokoju i do postawienia go w pozycji obrony — znowu jak w 1914 r. — interesów swoich materialnych i zasad moralnych ludzkości.

Ofenzywa na ziemię Basków (prowadzona wspólnymi siłami włosko-niemieckimi), wymierzona przeciw spokojnej ludności górali i rybaków, zniszczenie miasta Guernica, zagrożenie żeglugi do Bilbao, — wszystko to dowiodło Anglii, że stolica Basków tak jak ongiś Bruksela i Ren są bliżej Londynu, niż by to się zdawało.

Zjednoczone armie niemiecko-włosko-mauretańskie nacierają w kierunku złóż rudy żelaznej baskijskiej, z których Anglia, jak dowiódł tego niedawno organ d-ra Schachta „Der Deutsche Volkswirt", zaopatruje jedną piątą angielskiego wwozu, stanowiącą obecnie nieodzowną i niezastąpioną niczym część surowca dla angielskiego planu dozbrojenia. Flota generała Franco, wspomagana przez armaty faszystowsko-hitlerowskie miała odebrać flocie brytyjskiej swobodny dostęp do Bilbao, skąd tanim frachtem żegluga brytyjska tę rudę wywozi. Tego wszystkiego było Anglii dosyć.

Po pierwszych t. zw. sukcesach na froncie baskijskim, sukcesach polegających na pożodze i zniszczeniu, armie gen. Mola stanęły przed murem piersi Basków, broniących Bilbao. „Czarne strzały" — t. j. oddziały ochotnicze hiszpańskie pod wodzą włoskich oficerów poniosły klęskę. Pod Bermeo — mała mieścina rybacka — ponowiła się na mniejszą skalę historia z pod Guadalajara. Zapędzone zbyt daleko od tyłów oddziały włoskie zostały rozbite i, mówiąc stylem dawnych Rzymian, „fuga salutem petere". Jednocześnie flota brytyjska przerwała blokadę Bilbao, a główny korsarz wybrzeży krążownik „Espana" wyleciał w powietrze.

Jakże odpowiedzieli „sojusznicy totalni" na te nowe fakty? Jak zareagowali na to, że angielska opinia publiczna wystąpiła w obronie wolności mórz i wolności kraju Basków?

Włosi odpowiedzieli przez odwołanie swoich dziennikarzy z Londynu przed uroczystościami koronacyjnymi i zakazem debitu kilku pism angielskich we Włoszech.

Na temat wojny prasowej, która przecież nie wpłynie ani na przebieg, ani na charakter koronacji króla Jerzego VI, ani nie odejmie autorytetu monarsze angielskiemu, rzymska *„Tribuna"* pisze, że jest to „nie akt represji, lecz gest słusznej dumy". Anglia — wedle opinii *„Tribuny"* — pogwałciła układ dżentelmeński zawarty w styczniu 1937 r. Pogwałciła go głównie przez to, że na łamach prasy angielskiej ukazały się relacje z krwawej łaźni w Addis-Abebie po zamachu na marszałka Graziani'ego, następnie ostre protesty i oskarżenia z powodu akcji w kraju Basków, a wreszcie, jak wyznaje *„Tribuna"*: „Najbardziej obraźliwymi dla Włoch były zarzuty godzące w legionistów włoskich, którzy na terenie obcej sobie Hiszpanii bili się z impetem właściwym rasie włoskiej nie dla interesów materialnych".

Prasa angielska to właśnie pisała, że zawiezieni znienacka na góry i pola Hiszpanii legioniści włoscy nie chcieli bić się dla obcej im sprawy. *„Tribuna"* nazywa ją „nie materialną". Można i tak powiedzieć, skoro odebranie złóż rudy żelaznej z rąk angielskich dla III-ej Rzeszy, bezpośrednio Italii żadnej korzyści przynieść nie miało.

Do włoskiej wojny prasowej przyłączyły się głosy niemieckie, dowodzące, że i Niemcy właściwie są obrażeni na prasę angielską i powinny by uczynić to samo. Jednocześnie w prasie hitlerowskiej rozpętała się naganka, przypominająca słynne „Gott strafe England" z czasów wielkiej wojny. W nagance tej górują utyskiwania, skargi i złorzeczenia, że wolna i niczym oprócz poczucia przyzwoitości nie skrępowana prasa angielska, pisze prawdę o tym, co dzieje się w kraju Basków. Wszystko to, wedle pism niemieckich i włoskich, jest zmyśloną i złośliwą propagandą.

Właśnie w chwili, gdy prasa berlińska i włoska najostrzej przeciw „nieprawdom" angielskim pomstuje, znaleziono tekst układu podpisanego jeszcze w roku 1934 przez przywódców faszyzmu włoskiego z szefami reakcji hiszpańskiej o dążeniu do obalenia republiki w Hiszpanii. Układ podpisali — gen. Balbo w imieniu Mussolini'ego i Antonio Goioechea w imieniu monarchistów hiszpańskich. Wedle układu na walkę z republiką hiszpańską faszyzm miał dostarczyć: 1.500.000 peset, 20.000 karabinów, 20.000 granatów ręcznych i 200 karabinów maszynowych.

Wszyscy wiemy teraz, że układ został dotrzymany z nawiązką: 80.000 żołnierzy przewieziono z pod Apeninów pod Pireneje.

Na stanowisko W. Brytanii, na razie dopiero, czujne i nieco czynniejsze, na zajęcie pozycji moralnej, odpowiedziano gniewem, złością, oburzeniem. Nie wpłynie to na żadną zmianę. Państwa totalne uczyniły wszystko, nie tylko, aby poruszyć demokracje zachodnie z ich stanowiska bierności wobec dramatu hiszpańskiego, ale jeszcze i to wszystko, co trzeba było uczynić, aby obrona demokracji hiszpańskiej była zgodna z interesem W. Brytanii i Francji — pod sztandarem wolności i pokoju międzynarodowego.

Na tę zbieżność szczególniej oburzają się dwa sprzymierzone ustroje, ale w niej to właśnie — znajduje wyraz nieunikniona, żelazna logika wydarzeń.

St. Grostern

Bój o człowieka

Straszliwy jest widok niezawinionego cierpienia. O ileż, jednak straszliwszy byłby widok krzywdy ludzkiej, znoszonej z pokorą bydlęcia! Tu, na dnie tej pokory niewolnika, pogodzonego z jarzmem, spocząłby najgłębszy bezwstyd i upadek człowieczy; tu dopiero tailaby się śmierć, nie znająca zmartwychwstania.

Tej prawdy surowej nikt chyba w Polsce nie rozumiał lepiej, niż Józef Piłsudski, gdy przed 50 laty, wstępując w życie, jako młody bojownik, stanął po raz pierwszy oko w oko z losem swego narodu, z dolą robotników i chłopów. Gdy inni, nie wyłączając wielkich i największych w Polsce, roztapiali serce swe bez reszty we łzach uciśnionej ojczyzny, w jej krwawym pocie i znoju, on, odrazu, stanął na biegunie przeciwstawnym. Nie to było dla niego najgroźniejsze, że krew nasza lała się pod kulami żołdaków, że godność naszą obrażano, że wróg brutalny tryumfował; ale, że krew przelewano *bezkarnie*, że obraza naszej godności ludzkiej powstawała *bez odpowiedzi*, że wróg tryumfował *bez odwetu!* Nie sama nędza poniewierki, połączonej z utratą wolności politycznej, ale dopiero pokora i uległość, z jaką tę nędzę znoszono, były dla niego **bólem bólów***). One to bowiem hodowały w duszy narodu te „wilcze nasiona", które zatruwają jego zdrowie i życie moralne, a które, gdy nie spotkają się z przeciwdziałaniem, przesądzają o jego losie.

I jeśli na lat sześć Piłsudski, jako więzień dobrowolny, zamknie się w tajnej drukarni „Robotnika"; jeśli na lat 20 zakuje sam siebie w twardą służbę rewolucji, to po to, aby tę swoją prawdę rzucać w naród, jak siew pożaru, nieść, jak oręż, mający stać się orężem odwetu.

Z tego to siewu, w którym obok Piłsudskiego wzięły udział zrazu setki, a potym tysiące i dziesiątki tysięcy jego towarzyszów; z tego siewu, w którym ziarnem rodnym bywały nie tylko słowo, ale i krew bojowników i żołnierzy, wyrosła nasza niepodległość.

Niepodległość Polski: czyż może być potężniejszy pomnik bezużyteczności teroru?

***

Ale niepodległość Polski dla tych, którzy pierwsi o nią walkę podjęli, nie była celem ostatecznym. Nie była celem takim i dla Piłsudskiego, który od zarania młodości zdawał sobie sprawę z tego, że **odzyskanie własnego Państwa wstępem być musi do głębokich przeobrażeń społecznych.** „Świadomość tego — pisał on, już z całą siłą przekonania, mając lat niespełna 30**) — że w podjętej przez nas walce mamy przeciwko sobie i polskie klasy posiadające i rząd najezdniczy, nie przejmuje nas obawą, nie każe nam się wyrzec naszej polityki robotniczej i bezsilnie opuścić ręce.... Dotychczasowa walka utrwaliła w nas przekonanie, że zorganizowanej sile naszych wrogów należy przeciwstawić zorganizowaną siłę robotniczą, która musi skruszyć kajdany niewoli politycznej, by podjąć wielkie dzieło przekształcenia dzisiejszego niesprawiedliwego porządku społecznego". Walka o Polskę niepodległą była więc dla Piłsudskiego walką o niepodlego w Polsce człowieka i obywatela, t. j. walką o zdrowie moralne społeczeństwa, walką przeciw „wilczym nasionom", które to zdrowie trują i niszczą. Dlatego to, skupiając swe siły do przyszłej stanowczej rozprawy z rządem i państwem carskim, nie mógł on biernie trwać w oczekiwaniu tej chwili; nie mógł obojętnie znosić krzywd i ciosów ze strony wrogów. „By jarzmo niewoli nie wpiło się nam w barki*) — woła on głosem Żeromskiego, ale na lat 10 przed Żeromskim!— by nie upodliło naszego ducha cierpliwym znoszeniem zniewag i poniewierki, musimy zawsze stać na straży swej godności i odpierać wszystkie zamachy rządu, przeciw nam skierowane. Zawsze i wszędzie rząd (rosyjski) powinien spotkać w nas wroga, który nie pozwoli się bezkarnie znieważać i zakuwać w nowe więzy niewoli".

Niech gdziekolwiek w Polsce, jak w Hucie Bankowej**), dojdzie do starcia między robotnikami a żołnierzami cara; niech krzykiem rewolty buchnie krew robotnicza spod bagnetów wojska, już serce Piłsudskiego drży i pali się od ognia tej krwi, chłonie krzyk i liczy rany powalonych ofiar. Aby im współczuć? Tak, zapewne. Ale przede wszystkim, aby szukać kary na zbrodnię teroru; aby w sercu tych, którzy zostali żywi i cali, wzniecić żądzę odwetu za braci pomordowanych. „Jest ofiara, której krew o pomstę woła — pisał Piłsudski — jest dziki oprawca, który zbrodni dokonał, — brak ostatniego ogniwa dla zamknięcia łańcucha wypadków, brak kary i odpowiedzi towarzyszy zamordowanych"... „Kto w milczeniu zniewagę połyka, kto w pokorze policzek przyjmuje, ten nie godzien jest lepszej doli".***)

Przezwyciężenie tej pokory wewnętrznej, która się gnie pod batem, było dla Piłsudskiego pierwszym, wstępnym warunkiem już nie walki o wyzwolenie proletariatu lub o niepodległość narodu: było kategorycznym imperatywem zwykłego CZŁOWIECZEŃSTWA.

Wyraźnie o tym mówi on w swoim wiekopomnym liście „do Felka (Perla) lub tego, co mój nekrolog pisać będzie"; w liście pochodzącym z końcowego okresu przygotowań do akcji bezdańskiej (rok 1908: Piłsudski miał więc naówczas lat 41).

„Mój Drogi! Niegdyś obiecywałeś mi, że napiszesz śliczny nekrolog, gdy diabli mnie wezmą. Teraz, gdy idę na wyprawę, z której może nie wrócę... ...proszę tylko o to, byś nie robił ze mnie „dobrego oficjera lub mazgaja i sentymentalistę"... **Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę; to ubliża — słyszysz! — ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolni-**

---

*) Por. J. Piłsudski: „Pisma, mowy, rozkazy". Tom I, str. 259.

**) „Robotnik", 24.IX. 1895.

*) Tam-że.

**) Józef Piłsudski: „Pisma, mowy, rozkazy", t. I, str. 195 — 202.

***) Tam-że, str. 423.

czą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze — ja nie mogę! To nie sentymentalizm, nie mazgajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co: to — zwyczajne człowieczeństwo".

W imię tego CZŁOWIECZEŃSTWA, w imię walki o nie, jako o warunek **wszystkiego**, co jest treścią i wartością życia, Piłsudski — już w zaraniu lat męskich — zakłada w Polsce arsenał, którego broń zmieniać się będzie wraz z rozwojem walki, ale cel pozostanie niezmieniony. Jakże cieszy go, jakimż napełnia go tryumfem każdy oręż nowy, każda nowopozyskana broń! Przez długi czas arsenał ów składał się tylko z dwóch rodzajów broni. Jeden — to była potajemna, osłonięta powłoką konspiracyjną agitacja i propaganda czynnej części proletariatu. Druga to — strajki, podejmowane przez robotników przeciw kapitalistom. Jakaż była radość w obozie walki, gdy z tymi dwoma rodzajami broni Piłsudski mógł połączyć trzeci — nierównie silniejszy: manifestacje robotnicze. Silniejszy właśnie dzięki temu, że wymagający od występujących dużo więcej odwagi i stanowczości.

Ale i ten oręż silniejszy był jeszcze niewspółmiernie słaby wobec przewagi wroga. Piłsudski sięga głębiej w podłoża społeczne i dobywa stamtąd oręż, pozwalający już nietylko manifestować, ale uderzać w pierś nieprzyjaciela: tworzy Organizację Bojową P. P. S. i sam staje na jej czele. Gdy zaś i to narzędzie skruszy się w jego ręku, wtłacza bojowców rewolucji w mundury wojska i z garścią żołnierzy rzuca się w odmęt wojny światowej, aby z jej potopu wypłynąć, jako Naczelnik wskrzeszonego Państwa. Rozrost sił i władzy tego człowieka był więc— aż do pewnej granicy lat — rozrostem oręża w jego demokratyczno-społecznym, powstańczo-rewolucyjnym arsenale. Rozrostem, powtarzamy, bo każdy etap następny był budowany na fundamentach poprzedniego i zawierał w sobie jego dorobek. Z agitacji rodziła się broń strajku; strajk zwycięski przeistaczał się w manifestację; z ofiar manifestacyj powstał odwet Organizacji Bojowej, której animusz i heroizm odżył w Strzelcu, zatryumfował w Legionach.

Żołnierz, walczący o Polskę niepodległą był nie zaprzeczeniem, ale dalszym ciągiem, syntezą ruchów rewolucyjno-społecznych, którym przewodził Piłsudski: w tym rodowodzie była jego siła; w tej ciągłości był jego związek z podstawą społeczną. Niedarmo odnowicielem Polski został założyciel i pierwszy redaktor „Robotnika". Niedarmo w Piłsudskim tyle będzie mocy odrodzeńczej, ile starczy w nim żywej spójni, żywego poczucia łączności między dynamiką państwa a dynamiką sił społecznych.

Wszelako w toku tej trzydziestoletniej Piłsudskiego walki z niewolą polityczną i społeczną, walki o człowieka i człowieczeństwo, nie wszystko było ciągłością organizacyjną, nie wszystko snuło się pasmem jednolitego wysiłku. Pasmo rwało się raz po raz. W ogniu walki ileż razy wypadło broń przerzucać z ręki do ręki! Nie tok spokojnego narastania, ale burzliwe przełomy były znamieniem rozwoju. Każde przejście od jednego rodzaju broni do drugiego bywało kryzysem i mogło stać się tragedią. Nieraz w rękach przywódcy kruszył się stary oręż, nim dało się wykuć lub opanować nowy. Tak rozbiciu uległy Legiony, nim wybiła godzina Armii Polskiej. Tak skruszyła się Organizacja Bojowa, nim z gruzów jej odrodził się żołnierz polski. Co w takich momentach? Czy opuścić pole walki? Czy samej walki się wyrzec? Ale cóż warte byłoby życie ludzkie — bez człowieczeństwa? Cóż warte jest życie ludzkie,, w „atmosferze wychodkowej"?

W takich to momentach Piłsudski, stając oko w oko z losem narodu, rzucał na szalę to, czym rozporządza człowiek bezbronny, ale nieugięty: stawiał na kartę sam siebie. Z nieustraszoną odwagą, z pełną świadomością, szedł na bój, o którym miał wszelkie dane mniemać, że będzie dlań — śmiertelny. „Chcę — pisał w tymże liście do Feliksa Perla — właśnie sobą, którego nazywano i szlachetnym socjalistą i człowiekiem, o którym nawet wrogowie paskudztwa głośno nie powiedzą, człowiekiem zresztą, który ma trochę zasługi w kulturze ogólnonarodowej, podkreślić tę gorzką bardzo prawdę, że w społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, które cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tym, co nie jest szczytnym, pięknym i wielkim..."

Zginąć w nierównym boju, byle nie żyć „jak bydlę okładane kijem"; oto decyzja, oto moment, w którym człowieczeństwo w osobie Piłsudskiego najwyższy wystawiło sobie pomnik. Nie rozpacz, nie poświęcenie kierowało nim w owej chwili, jak sam wyznaje, ale chęć zwycięstwa, chęć przygotowania zwycięstwa, a przede wszystkim chęć ocalenia swej istoty duchowej.

Z takiej chwili narodziły się Bezdany. Z takiej chwili — w lat niespełna dziesięć — narodził się etap Magdeburga.

I chwil takich w życiu Piłsudskiego, gdy sam siebie stawiał na kartę, było więcej, niż wiemy, niż kiedykolwiek zdołamy się dowiedzieć. Czyż takim posterunkiem, z którego dzień po dniu wyzywał śmierć własną, nie była tajna drukarnia „Robotnika"? Czyż nie była nim później komenda Pierwszej Brygady, którą sam tylekroć wiódł w ogień, lub na której czele trwał pod ogniem pocisków? Domyślamy się, że Legiony i bez Piłsudskiego pozostałyby drużyną bohaterów. Lecz jeśli — pospołu z nim stały się początkiem nowej historii naszej, zawdzięczamy to zasobowi ducha, który on z siebie dobył, gotów każdej chwili na szalę losu rzucić swe własne życie.

Siła bowiem żołnierza, wedle Piłsudskiego, nie na tym polega, że ma on siłę zabijać, że na ostrzu oręża niesie śmierć nieprzyjacielowi. Zabija także, jak wiadomo, i kat. **Siła żołnierza tkwi w tym, że on jest gotów dla swej sprawy polec, że w sercu niesie wizję własnego zgonu.** Ta dopiero gotowość śmierci czyni go wspaniałym i groźnym. Takim właśnie żołnierzem groźnym i wspaniałym był Piłsudski, gdy walczył o niepodległość, którą utożsamiał z człowieczeństwem.

Wszelako tutaj nie chodzi nam o rejestr zasług lub chwały Piłsudskiego. Tu chcemy tylko podkreślić raz jeszcze cenę, jaką on — wówczas, gdy z garścią najmężniejszych walczył przeciwko przemocy — gotów był płacić za swe prawo człowieka do godności osobistej w zwykłym, codziennym życiu.

Aby zdobyć i zachować to prawo, stawiał na kartę samego siebie: czyż mógł uczcić je więcej?

W. Rzymowski

Chłop wkracza w dzieje Polski

Na oczach naszych rodzi się nowe masowe zjawisko: młoda inteligencja chłopska. Inteligencja, która z gleby chłopskiej powstając, nie wsiąka w ideologię mieszczaństwa, nie staje się czeladzią w służbie sfer uprzywilejowanych, ale pracować chce dla własnej gleby macierzystej. Chce chałupom wiejskim nieść światło swojej wiedzy; chce masom chłopskim nieść zrozumienie ich doli oraz ich przeznaczeń dziejowych. W osobie tej to inteligencji chłop polski — po raz pierwszy w tysiącletnich dziejach naszych — wkracza szeroką ławą w historię Polski z własną twarzą, z własną myślą i wolą. Po Wł. Kowalskim, St. Miłkowskim, T. Reku, którzy występowali w tej samej sprawie na łamach „Epoki", jeden z tych autentycznych „synów ziemi" zabiera znów głos w artykule, który dajemy poniżej.

EPOKA.

Jestem pod wrażeniem świeżo przeczytanego „Rozdroża" Marii Dąbrowskiej oraz dużej broszury Hipolita Grynwasera p. t. „Przywódcy i burzyciele włościan". Straszliwe i przeklęte dzieje, wstydem palące, a przecież nauka, która z nich płynie, żadnego wpływu nie wywiera na bieg dzisiejszego życia.

I cóż tu pomoże najszlachetniejszy apel do serc i sumień możnych tego świata! Wyśmieją i wyszydzą. Nazwą „burzycielem". Odsądzą od czci, odmówią prawa chodzenia po ziemi polskiej. To właśnie spotkało Marię Dąbrowską w różnych „Gazetach rolniczych", wydawanych przez panów ziemian.

Autorka „Rozdroża" przeżyje tę napastliwą histerię polskiego ziemiaństwa. Zbyt jest znana jako pisarka i zbyt powszechnie szanowana, jako człowiek, by nawet panoszące się i zuchwałe szlagoństwo mogło jej zaszkodzić. Ale iluż działaczy chłopskich w ten właśnie sposób, zaszczuto? Metoda niszczenia ludzi jest aż nadto znana. Zrobią z tego, kogo chcą zgubić, najpierw komunistę, fałszywie denuncjują, ścigają, a gdy człowieka zapędzą do więzienia — miłosiernie zaczynają kiwać głowami: „Patrzcie, do czego prowadzi to burzycielstwo, ten radykalizm".

Do sprawy fabrykowania komunizmu na wsi zbliżamy się również z innej jeszcze strony. Oto dziś często czyta się w alarmistycznych pismach o „zastraszającym szerzeniu się komunizmu" na wsi. Nie wiem, czy jest to prawdą. Mógłbym raczej na podstawie własnych obserwacyj przypuszczać, że wszystkie światlejsze i demokratyczne elementy na wsi, jeśli dawniej miały coś wspólnego z komunizmem, to obecnie opuszczają jego znaki pod wpływem straszliwych, nadchodzących z Sowietów wieści, które wzbudzają odrazę w całym świecie. Ale niewątpliwie i dziś tu i ówdzie znajduje komunizm podatne siedliska na wsi, szczególnie wśród biedoty bezrolnej i małorolnej. Źródło jego pochodzenia jest zupełnie wyraźne. Rodzi go rozpacz, wynikająca z bezrobocia; z jarzma głodu i nędzy, ze zwątpienia o możnościach poprawy swego losu za pomocą kartki wyborczej.

A do tego dochodzi inny czynnik — plebania, którą olbrzymim cieniom kładzie się na całe życie wiejskie. Kto nie żył na wsi, nie zrozumie, jaki terror moralny stosuje kler wobec każdego, kto waży się na odrobinę samodzielności. Łatwiej wytrzymać publicyście w mieście napaści KAP-a, niż działaczowi chłopskiemu na wsi wyklinanie z ambony i ciągłe szykany ze strony jadowitych dewotek, które możnaby lekceważyć, gdyby nie stanowiły zazwyczaj forpoczty ataków o wiele cięższego kalibru.

Ileż trzeba mieć odwagi i jaką siłę wytrwania, by nie dać się złamać lub ugiąć.

Na jedno zjawisko naszego życia polskiego trzeba tu jeszcze zwrócić uwagę, które mocno podkreśla odrębność, czy nawet „ghetto" istnienia chłopskiego. Na tę przepaścistość podziału, jakiej bodaj nie spotka się w żadnym innym kraju Europy. Z jednej strony jaskrawo odcina się świat „panów": wszelkie szlagoństwo, elita wysokourzędnicza, niestety także większość inteligencji zawodowej, wysługującej się dziś swojskim i obcym ośrodkom kapitału, wreszcie — ukrawaczone mieszczaństwo. A z drugiej strony pozostaje — „prosty lud", robotniczy, a przede wszystkim chłopi. Jest to linia podziału nie według stanu zamożności i posiadania, ale według kołtuńskich, przez szlachtę naniesionych zwyczajów i nałogów myślowych: „Ty, chłopie, z drogi ustępuj, boś ty chłop, a ja pan!" Wzgardliwy stosunek do ludzi pracy jest w Polsce powszechny. Nie ma w niej poszanowania godności ludzkiej. Wydelikacona ręka pozostaje odznaką wyższości. A takich ludzi, jak niedawno zmarła Jadwiga Dziubińska, jest mało...

W tych oto warunkach pracuje ruch ludowy. Przeciwko sobie ma on prawie wszystkich i wszystko, a przyjaciół jakże niewielu! Nauczycielstwo szkół powszechnych, które w ubiegłych latach było naturalnym sojusznikiem chłopów w swej większości zostało następnie nie z własnej winy z chłopami zwaśnione, i dziś z trudem panownie musi drogę do chaty chłopskiej odnajdywać. Ze swoją nędzą i z poczuciem krzywdy chłop pozostał w społeczeństwie niemal odosobniony, sam jeden.

Krzywda... — to ona daje zazwyczaj początek każdemu ruchowi wyzwoleńczemu mas. To ona, gdy zbyt wysoko się spiętrzy, rwie pęta i staje się dźwignią przebudowy. Z poczucia krzywdy wyrastają niekiedy najpiękniejsze dążenia, szczytne ideały nowych ustrojów, nowych miar sprawiedliwości.

Nasz polski ruch ludowy, o ile skrystalizowany jest organizacyjnie, nie szuka odwetu za minioną przeszłość, za chłopskie tak okrutne „wczoraj". Ruch ludowy jest ruchem jak najbardziej pokojowo usposobionym. Nie głosi haseł przewrotowych i nie wzywa do rewolucji. Po ludzku rzecz biorąc, mogłoby to wydać się dziwne. Boć najprostszym prawem niewolnika bywa bunt. Tak. ale chłop nasz nie czuje się niewolnikiem. Chłop, wyrastający w ideologii agrarnej ruchu ludowego, przede wszystkim zmywa z siebie brud pańszczyzny, strąca osad niewoli, staje się *człowiekiem*. Na tej drodze samowyzwolenia odbywa się rewolucja chłopska. W przekonaniu

naszym, jest to droga jedyna, wiodąca do wielkiego celu. Bunt, ślepego, szukający odwetu, nic chłopom daćby nie mógł.

Z tego założenia wychodząc, ruch ludowy w ostatnich latach rozwinął wytężoną pracę oświatowo-wychowawczą, zwłaszcza w młodym pokoleniu.

Czy są rezultaty? Są. O tym najlepiej opinię polską informują komunikaty KAP-a i prasa klerykalna. Dziś o takich „Wiciach" nawet dziecko w miejskiej szkole powszechnej wie, że niby są to „żydo-komuniści". Jest to wskazówka, że te „Wici" już coś na wsi znaczą.

Są oznaki zainteresowania się „Wiciami" i z drugiej strony, ze strony komunistów. Ci panowie wiecznie rozprawiający o rewolucji, spostrzegli raptem, że reakcyjne „Wici", na drodze wychowawczej, stworzyły silny ruch postępowy na wsi. Na gwałt przeto nastręczają się ze swoim „wspólnym frontem" na przewodników, oczywiście, radząc przy tym usunięcie „reakcyjnej góry".

Jak życie uczy, wychowanie nowego człowieka jest sprawą najistotniejszą. Bo człowiek decyduje o wszystkim. Człowiek tworzy określone warunki życia i życie samo. Może więc dobrze się stało, że chłop polski bez żadnej pomocy cudzej, choćby nawet życzliwej, wchodzi w życie. Powolniej odbywa się narastanie nowej rzeczywistości w Polsce, ale za to pewniej i trwalej.

Nie wspomniałem dotąd o sprawach gospodarczych i politycznych, tak bardzo dziś wieś obchodzących. Cóż tedy z przeludnieniem wsi? A co z reformą rolną? A z walką o prawa obywatelskie? Oto kategorie zagadnień, w obliczu których kształtuje się wyraźna świadomość masy chłopskiej. W każdym razie planowo zbliżamy się a nie oddalamy od rozwiązania tych wszystkich zagadnień. A trzeba stwierdzić, że wiele lat uprzednich poprostu zmarnowano. Marnowano je wówczas, gdy chłopi na wiecach wołali tak głośno o reformę rolną, że „aż miało być słychać w Warszawie" (takie wezwanie rzucał jeden z dzisiejszych renomowanych filarów reakcji). Było to anarchizowanie psychiki chłopskiej. Podobnie w sposób destrukcyjny działały rewolucyjne deklamacje komunistów. Rewolucji „za trzy miesiące" nie było, odezwy rewolucyjne sprzykrzyły się, otumanieni zaś lub zatruci chłopi szli do... O.N.R. robić inną rewolucję: rewolucję nawspak!

Tego rodzaju dziwolągi, na szczęście są już poza nami. Chłopski ruch agrarny obejmuje zwolna wszelkie przejawy życia wiejskiego, nadając im własny wyraz. Pewnie, plącze się jeszcze na wsi, to i owo, ale decydującego znaczenia nie ma i mieć już nie będzie.

Przeciwstawiliśmy się tu stanowczo wszelkiej tromtradacji i frazeologii, której do niedawna ulegał ruch ludowy, wzorując się na innych partiach. Stwierdziliśmy, że ruch ludowy, zwłaszcza w młodym swym pokoleniu, podjął pracę na długiej fali, nie przywiązując zbytniego znaczenia do aktualnych wydarzeń politycznych, zdawałoby się nieraz wielkich — a w gruncie rzeczy najczęściej tylko głośnych.

Wierzymy, że te samodzielnie przez wieś podejmowane, od dołu narastające przemiany. stwarzają podstawy dla pożądanej a zarazem nieodzownej przebudowy Polski. Nie jękiem i lamentem, nie owym apelem do „serc szlachetnych", z jakim wystąpiła w swej książce Dąbrowska. ale pozytywną i twórczą pracą chłop wkracza do Polski. *S. J.*

Rozmaite bywają kryteria inteligencji, ale to, które wysunął nowoendecki „Kurier Poranny", bije swą oryginalnością wszelkie rekordy:

Pies — czytamy w organie pp. Skiwskiego i Piestrzyńskiego — jest stworzeniem wybitnie inteligentnym, bo nie tylko posiada kompletny ogon, jaki człowiek ma już w zaniku, ale zwolniony jest z podatku obrotowego, chociaż sam często obraca się w kółko...

Ogon, jako szczytne znamię inteligencji! — czyż to nie śmiałe? czy to — hi, hi, hi, — nie dowcipne?

Biedny pan Skiwski... Biedny pan Piestrzyński... Obaj, najwidoczniej, mają ogony w zaniku.

Biedne stworzenia: martwią się, że są bez ogonów, a nie widzą, że są bez głowy.

Pomniki osobliwego kaznodziejstwa

„Dziennik Bydgoski" — istna beczka oszczerstw, szkalujących nauczycielstwo polskie — skazany wreszcie został wyrokiem sądowym na dotkliwą a słuszną karę, która mu się oddawna należała. Chcemy wierzyć, że długie miesiące, które redaktor tego pisma spędzi na rekolekcji za kratą więzienia, nie pójdą na marne i oduczą go od szargania czci ludzkiej.

Wszelako niemniej ważne od wyroku są w procesie bydgoskim pewne epizody, które podczas przewodu sądowego wyszły na jaw: epizody, ilustrujące warunki, w jakich żyje i pracuje nauczyciel szkoły powszechnej.

Ponieważ nie chcemy nadużywać uwagi naszych Czytelników, przeto ograniczymy się do przytoczenia dwóch tylko przykładów, przedstawiających sposób, w jaki niektórzy księża współpracują z oświatą. Oba przykłady były stwierdzone sadownie. Oba są żywymi pomnikami współczesnego kaznodziejstwa.

Ks. Pietkiewicz: (wedle zeznania św. Roszewskiego):

NIECH PŁYNIE KREW!

...Ja będę tak długo walczył, dopóki ten chwast, ten brud, to łajdactwo (ksiądz P. tak nazywa nauczycielstwo związkowe) nie będzie wyrżnięte co do nogi. Niech płynie krew! — i musi popłynąć, bo ona tylko okupi wszystko i wyda zdrowe ziarno... Rodzice! W szkole uczą się dzieci wasze z żydowskich podręczników! Nauczyciele dają dzieciom żydowskie podręczniki. Nie pozwalajcie, aby wasze dzieci uczyły się z takich książek...

ZAKLINAM WAS NA TEN KRZYŻ!...

...Rodzice! W Świnicach dzieją się same łotrostwa i łajdactwa: nauczyciele deprawują dusze dzieci i paczą młode charaktery. Rodzice! Zaklinam was na wszystkie świętości, na ten krzyż, na Pana Jezusa, utajonego w Przenajświętszym Sakramencie, abyście dążyli do usunięcia takich nauczycieli. Matki! Gdzie wy macie ręce? Idźcie pod szkołę, wyrzućcie tych nauczycieli — bolszewików!...

Ks. Kosmulski: (wedle zeznania świadka Karwackiego):

CZOŁGAĆ SIĘ I CAŁOWAĆ POSADZKĘ!...

...Patrzcie, jak ta inteligencja i to nauczycielstwo żyją! Wszędzie, gdzie się obejrzeć, domy publiczne;

w małżeństwach nauczycielskich dzieją się różne łajdactwa i obraza boska. Nauczyciele do kościoła nie chodzą; do stołu Pańskiego nie przystępują, a jeśli są w kościele, to u spowiedzi ich nie zobaczycie, bo ci bolszewicy, złodzieje, bandyci i łajdaki siedzą w kościele, jak ta małpa, bez książeczki do nabożeństwa. Żegnają się, jakby muchy z przed nosa odganiali. Całe to świństwo należy zagnać do Częstochowy, by tam ich nauczyli, jak należy czołgać się i całować posadzkę w kościele...

Oto przykłady kaznodziejstwa, które mówią same za siebie. Nie chcemy ich uogólniać, ale nie możemy ich też lekceważyć. Sądzimy, że nie mogą ich lekceważyć również i nasze władze państwowe, odpowiedzialne już nie tylko za kierunek oświaty, ale wręcz za ład publiczny i bezpieczeństwo kraju. Pewne kwiaty rosną tylko na właściwej glebie. Jakaż jest więc ta gleba kościelna, na której róść mogą kwiatki podobne, tak dalekie już nie tylko od „Kwiatków" św. Franciszka, ale od zwykłej mowy ludzi, szanujących swą godność i swe słowa.

A. Grot

Wacław Tokarz i jego rola

w dziejopisarstwie polskim

Metody badań historycznych rzadko i to tylko w wyniku radykalnego społecznego przewrotu, podlegają gwałtowniejszym zmianom. W warunkach normalnych ewolucja stosunku do przeszłości własnego narodu, ewolucja metod, służących jej badaniu i naświetlaniu, dokonywa się bardzo powoli, tak powoli, że wymyka się najczęściej obserwacji nie wtajemniczonych. Nie mniej jednak historiografia wypełnia poważną misję kulturalną, wypełnia funkcje, jakie w danym momencie wkładają na nią stosunki polityczno-społeczne.

Wynikałoby stąd, że winna być szczególnie wrażliwa na zmiany w koniunkturze politycznej, notować wszystkie wahania kursu wobec szerokich warstw społeczeństwa. Jeżeli mimo to, a raczej przy tym wszystkim, stanowisko historyków zmienia się tak powoli, to jedynie dlatego, że niezależnie od przejściowych tendencyj, niezależnie od przesunięć w łonie klas rządzących, ich postawa wobec rządzonych pozostaje w istocie ta sama.

Historiografia polska XIX stulecia miała zadanie specjalne. Punktem, w którym spotykały się nawet walczące ze sobą szkoły, był stosunek do zagadnienia wewnętrznego, społecznego rozwoju Polski w okresie niewoli. Włożono olbrzymi wysiłek, aby przekonać wszystkich, że historia zatrzymała się na dniu rozbiorów, że ostatnim historycznym faktem o społecznym obliczu była Konstytucja Majowa 1791 r. Potym nastąpiła wielka pustka, żałoba narodowa, w której poza szlachetnymi wysiłkami w kierunku wyzwolenia nie działo się nic. Starannie zacierano ślady walk wewnętrznych, pomijano wszystko, co mogło na nie naprowadzić. Budowano legendę o zgodzie narodowej, o „treuga Dei", pokoju bożym wewnątrz społeczeństwa. Wbrew najoczywistszej prawdzie przedstawiano powstania jako „zgodny porvw narodu", przeciwko zaborcom.

Stąd wynikał stosunek do przemian, które dokonały się w gospodarczej i społecznej strukturze Polski na przestrzeni XIX w. — do rewolucji burżuazyjnej. Poprostu nie zauważono jej. Nie dostrzegano etapów, którymi stara feodalna Polska zbliżała się do nowej kapitalistycznej.

Mówiło się, że przeoczenia te potrzebne są dla krzepienia ducha, dla umacniania jedności — znaczyły zaś strach, paniczny lęk, jaki żywiło ziemiaństwo szlacheckie przed widmem wyzwolenia i uwłaszczenia chłopów. Strach kazał przemilczeć rewolucyjne ruchy ludowe w r. 1794, kazał wypreparować powstanie listopadowe w myśl recepty (śmiech wyznać) jedności narodowej. Przekleństwo legło na „burzycielach" narodowej sielanki.

Jakże inny stosunek do własnej przeszłości miała np. burżuazja francuska. Ta oddawna przyznała się do swego rodowodu, kolejno uznawała za swoich przodków Żyrondę, Dantona, Robespierra, przyznała się do puścizny swej wielkiej rewolucji. Bardzo wcześnie zaliczono do szlachetnych ale dziecinnych bajek gromy rzucane np. przez Taina na „zbrodniczy motłoch paryski". Ba, reakcja francuska końca XIX w. sięgała do rewolucyjnych tradycyj, aby właśnie przy ich pomocy dowieść, że władza jej pochodzi z rąk ludu. Reakcja polska w tym samym czasie odżegnywała się od swoich przodków rewolucyjnych, wypierała się tych, którzy przyjmowali ją na świat — byle tylko nie zachwiać przekonania, że jej władza pochodzi z woli mistycznych przeznaczeń dziejowych, z ręki Boga.

Początek XX w., wbrew falsyfikatorskim tendencjom naszych historyków, ujawnił dokonaną już poważną ewolucję stosunków wewnętrznych. W r. 1905 wystąpił do walki robotnik polski, podkreślając związek między wyzwoleniem narodowym a wyzwoleniem mas pracujących z politycznej i ekonomicznej niewoli kapitału. Ujawnił proletariat polski odrazu olbrzymią siłę, zadokumentował, że on teraz staje się najważniejszym czynnikiem w walce o niepodległość. Ku tej sile musiała zwrócić się uwaga niepodległościowo nastawionej części dołów mieszczańskich i inteligencji. Te właśnie elementy poczęły szukać zbliżenia do proletariatu, dążyć do pozyskania go. Odgrzebanie dawnych tradycyj rewolucyjnych, szukanie w nich oparcia mogło przecież stanowić poważną siłę atrakcyjną dla jęczących w podwójnej niewoli mas.

Tu tkwiła geneza zmiany nastawienia polskiej historiografii w pierwszym dziesięcioleciu XX w. Nowy, słabo jeszcze reprezentowany kierunek zaczął ostrożnie krążyć dokoła „ciemnych plam" w naszych dziejach, nieśmiało wymieniać daty i nazwiska, stanowiące wprzódy obrazę narodu. W tej grupie historyków jednym z najwybitniejszych był *Wacław Tokarz.*

Pierwsza poważniejsza jego praca poświęcona została rehabilitacji Kołłątaja, pierwszego wielkiego działacza i myśliciela burżuazyjnego w Polsce. Uznano i tolerowano działalność Kołłątaja do r. 1791, to, co nastąpiło potym, zaginęło w kałuży oszczerstw

i kalumnij, pokryte zostało zapomnieniem, przerywanym niekiedy znaczącą aluzją. Stosunek historyków do tej sprawy przypomniał mowę bogobojnego kaznodziei nad grobem samobójcy. Tę właśnie drugą połowę działalności Kołłątaja oczyścić postanowił Tokarz. Zadanie wykonane zostało połowicznie. Nie wystarczyło bowiem stwierdzić bezzasadność oszczerstw (a i tu zostały zastrzeżenia) — dla pełnej rehabilitacji należało podjąć się obrony nie tylko Kołłątaja, ale i tego co on reprezentował, trzebaby znaleść zasługę tam, gdzie współcześni widzieli zbrodnię. Na to Tokarz nie mógł się zdobyć.

Nieśmiałe w początkach tendencje wzmacniały się stopniowo w miarę zbliżania się do r. 1918. Lata wojny i czasy legionów były okresem wzmożonej potrzeby pobudzenia mas do walki o niepodległość. Dla obudzenia aktywności, zaszczepienia poczucia siły, trzeba było sięgnąć wprost do tradycyj rewolucyjnych, obrazowo pokazać przyszłość na przeszłości. Przykład 1794 r. wydawał się najodpowiedniejszy do podjęcia. Bezpośrednie walki ludu warszawskiego, rewolucyjna armia tworzona z ludu miejskiego, chłopstwa i zdeklasowanej szlachty, armia walcząca nie tylko o niepodległość, ale i o przebudowę społeczną — wszystko to mogło mieć w tych gorących latach bezpośrednią wymowę. To też w r. 1915 wydaje N. K. N. jedną z niewielu popularnych broszur Tokarza „Żołnierze kościuszkowscy", która miała być zachętą do podjęcia kościuszkowskich tradycyj, chwytania za broń, tworzenia armii ludowej, armii o wyraźnym zabarwieniu społecznym.

Z tych właśnie nowych zadań społecznych wypłynęło zainteresowanie Tokarza momentami przełomów rewolucyjnych w naszej przeszłości. Historia musiała teraz chwycić się innych środków, odrzucić stare zużyte już i na nic nie przydatne narzędzia, jeżeli miała znaleść dostęp do tych, o których pozyskanie chodziło. Głoszona tak długo patriotyczno-narodowa sielanka stała się dla tego odłamu historyków przeszkodą. Trzeba było rozbijać teraz mit o narodowej jedności, podważać przekonanie o wewnętrznym pokoju — odrabiać zaległą pracę pokoleń.

Do odrobienia było istotnie wiele, nie wiarygodnie bowiem zaśmiecone były wyobrażenia czytającej części (że tę tylko weźmiemy pod uwagę) społeczeństwa. Wiele z tych przesądów i bredni, które w społeczeństwach zachodnich przeszły dawno do repertuaru parafiańskich reakcyjnych dzienników, królowało u nas na katedrach w uroczystych togach „naukowości".

Kiedy czyta się „Rok 1863" J. Piłsudskiego, najmocniejszym chyba uczuciem jest zdumienie: — Jakto, więc jeszcze w r. 1924 trzeba było obalać wszechwładną legendę o pokoju narodowym, jaki rzekomo panował przez cały ciąg dziejów Polski? Więc tak bardzo byliśmy (i jesteśmy) opóźnieni w pojmowaniu elementarnych zjawisk społecznych?

Pierwsze lata wytknęły Tokarzowi kierunek badań, i po tej linii poszła dalsza jego praca. Szukał w dziejach Polski nowożytnej potwierdzenia tezy, którą w r. 1924 sformułował Piłsudski: „legenda o pokoju narodowym zniknąć musi przy dotknięciu prawdy historii". Cała uwaga Tokarza skupia się na dwu przełomowych momentach, jakimi były rewolucje 1794 i 1830-1 r. W tych dwu momentach, przede wszystkim zaś w r. 1794 lud miejski własnymi rękami wypełniał zadanie podcinania podstaw feodalizmu, znoszenia średniowiecznych barier, przygotowywania gruntu pod przyszły ustrój burżuazyjny. Jedną z ostatnich swoich prac poświęcił Tokarz dwudniowemu powstaniu w Warszawie w dn. 17 i 18 kwietnia 1794 r. „Jest to zdarzenie — pisze Tokarz — nad którym żadnemu badaczowi nie wolno przejść do porządku dziennego, gdyż świadczy ono najwymowniej o przyroście nowych sił, napływie świeżych soków żywotnych do organizmu Rzplitej" („Insurekcja warszawska" str. 5). Zarówno tu jak i w r. 1830-1 dostrzega Tokarz pogłębianie się w społeczeństwie różnic klasowych, podkreśla wzrost „tarć a nawet zmagań wewnętrznych".

Myliłby się jednak ktoby przypuszczał, że z tym stanowiskiem wiąże się jakaś zasadnicza aprobata przebudowy społecznej, że autor usiłuje zanalizować te społeczne, klasowe motory, pchające lud do zbrojnych wystąpień. Nie ma w stanowisku Tokarza przyznania się do ideowego pokrewieństwa. Tak daleko jeszcze nie zaszliśmy. Udział ludu — tak, jego aktywna postawa — tak, ale ani wzmianki, któraby mogła naprowadzić *dziś* na świadomość jego samodzielnej roli.

Dostrzeganie *faktów* a nie dostrzeganie *procesów*, analiza poszczególnych starć społecznych, przy jednoczesnym pomijaniu stałych klasowych walk — obojętność wobec ich ekonomicznej i społecznej treści — oto co najdobitniej charakteryzuje historyczną metodę — społeczną filozofię Tokarza. W rezultacie wartość jego dzieł, wartość odkrywcza, tkwi nie w tym, co mówi nam bezpośrednio, lecz w tym, co z zestawień analizowanych przezeń faktów nieuchronnie wynika. Jeżeli w pewnej mierze był Tokarz historykiem rewolucji mieszczańskiej w Polsce, to był nim pomimo swej woli. Nie chciał świadomie chwycić sztandaru, przeto musiał, może nie wiedząc o tym, za tym sztandarem iść.

O jedynym, zapomnianym zresztą, świadomym historyku burżuazyjnej rewolucji — Mochnackim mówi Tokarz krótko: „Stwierdzić należy, że ogólne tło obrazu Mochnackiego odpowiada i dziś całkowicie prawdzie dziejowej". Więcej nic, ani słowa o tej metodzie historycznej, która ostała się w ciągu przeszło stulecia, wtedy, kiedy dawno do muzeów przeszły dzieła znakomitego Lelewela, historyka zawodowca. Ani słowa o tym, że zwycięstwo Mochnackiego tkwiło w jego stanowisku, że to właśnie dało mu ostrość widzenia przyczyn i skutków wewnętrznych walk. Całe dzieło o r. 1830/1 jest wielkim, nieświadomym potwierdzeniem stanowiska Mochnackiego — potwierdzeniem jednak, któremu znaczną część wartości odbiera to, że jest nieświadome. Tokarz napisał swe dzieło tak, jakby nie istniał Mochnacki, cofnął się w społecznej świadomości i historycznej metodzie daleko poza niego.

Odwrót ten łatwo możemy sobie wytłumaczyć. Wtedy, kiedy działał i pisał Mochnacki, burżuazja była w Polsce klasą rewolucyjną, walczyła szczerze (przynajmniej pewne jej elementy) o pojętą wedle swoich potrzeb przebudowę społeczną, walczyła o władzę. W interesie jej leżało jasne widzenie wewnętrznych procesów, podkreślanie różnic klasowych i głoszenie walki klasowej. Kierunek, z którego wyszedł Tokarz, miał inne zadania. Nie szło tu bynaj-

mniej o przygotowanie mas do samodzielnej roli, lecz do roli narzędzia. Nie o to szło, aby masy burzyły i budowały, lecz żeby były posłuszne.

Jedną jeszcze ważną naukę dają nam prace Wacława Tokarza. Wniosek, jaki tu chcemy wyciągnąć, nabiera dziś zwłaszcza szczególnej doniosłości.

Uprzywilejowane miejsce w jego, jak i całego środowiska, z którego wyszedł, dziełach zajmowała historia wojska i wojen. Oprócz naszkicowanego wyżej — drugim ważnym zadaniem było wskrzeszanie tradycji wojska polskiego, podkreślanie jego roli w dziejach. Ta tendencja, uwidoczniona w pracach specjalnie temu zagadnieniu poświęconych zaciążyła b. poważnie na historycznej metodzie Tokarza. Atmosfera wielkiej wojny i pierwszych lat niepodległości sprzyjała militaryzacji historii, przenoszeniu ośrodka zainteresowań na operacje wojenne. Odbiło się to już na poglądach na Powstanie Kościuszkowskie, pomnikowym zaś przykładem jest historia Powstania Listopadowego, która wprost otrzymała tytuł „Wojna polsko-rosyjska". Przeszło trzy czwarte wielkiego dzieła dotyczą wyłącznie operacyj wojennych, najdrobiazgowiej analizowany jest stan poszczególnych oddziałów, plany strategiczne i t. d. Zupełnie świadomie usiłuje Tokarz na polu walki i w sztabie generalnym znaleźć klucz do wytłumaczenia wypadków, tam umieścić główne motory wydarzeń. Dopiero na marginesie niejako uwzględnia pozostałe czynniki.

I tutaj musimy stwierdzić, że wbrew tym usiłowaniom, nic tak jak dzieło Tokarza, nie przekonywa nas, iż w żadnym momencie dziejów Polski o zwycięstwie nie decydował jedynie plan strategiczny, w żadnym momencie źródłem siły nie była tylko armia. Ani zwycięstwa 1794 r. (oblężenie Warszawy, Racławice), ani klęski 1831 r. nie były dziełem oderwanych operacyj militarnych, nie były również proporcjonalne do liczby wojska i jego uzbrojenia. Do rozstrzygającej roli urastają natomiast owe marginesowe u Tokarza czynniki społeczne: *margines staje się właściwym tekstem.*

Nigdzie, tak jasno, jak u Tokarza — wbrew jego woli i zamierzeniom — nie wynika, że źródło siły tkwi w społeczeństwie, w jego najliczniejszych warstwach; że zwycięstwa przygotowują nie tylko plany operacyjne sztabu, lecz polityka społeczna klas rządzących i wpływ na nią szerokich mas ludowych. Na ulicach Warszawy i Wilna, z woli zwycięstwa ludu rewolucyjnego rodziła się stosunkowo wielka siła r. 1794, ze zdławienia zaraz na wstępie czynników demokratycznych, z uchwycenia władzy przez reakcję, zrodziły się klęski r. 1831 mimo poważnej siły militarnej. Gdyby sięgnąć do obcych przykładów: zwycięstwa rewolucji francuskiej były dziełem źle uzbrojonych mas, które rewolucja powołała do politycznego życia.

Rola Tokarza w historiografii polskiej była b. poważna i dodatnia. Jego gruntowna i rzeczowa analiza, ogrom włożonej pracy w dużym stopniu ułatwi przyszłym historykom wyciągnięcie ostatecznych wniosków. Zwrócenie uwagi na najważniejsze momenty naszej przeszłości, pierwsze kroki na drodze zdyskredytowania szkodliwych legend, winny stać się zachętą do dalszej pracy po tej linii.

W. K. Bieńkowski.

Katolicyzm a rebelia

„Catholicisme et rébellion". Taki tytuł nosi interesująca broszura Louis Martin-Chauffier'a, która ukazała się niedawno w Paryżu nakładem „Comité Franco-Espagnol". Autor jej jest wierzącym, praktykującym katolikiem. Nie mówi zresztą wyłącznie od siebie. Cytuje głosy innych osób, których ortodoksyjność katolicka nie może być podawana w wątpliwość.

Martin-Chauffier występuje głównie przeciw wiązaniu chrystianizmu i Kościoła z interesami rebelii faszystowskiej w Hiszpanii. „Na skutek okropnego nadużycia i prawdziwego świętokradztwa generał Franco usiłuje postawić Chrystusa przy swoim boku, uwikłać Go i skompromitować razem ze sobą. Chrystus nie jest ani z nim, ani z nami, lecz ze wszystkimi, ponieważ umarł za wszystkich ludzi... Nie znam nic bardziej fałszywego, głupiego i antyreligijnego, niż hasła: „Gott mit uns" lub „Gesta Dei per Francos".... Proklamacje rebelianckie głoszą, że Franco prowadzi wojnę w imię Chrystusa. Podobnie nadużywa imienia Chrystusowego przywódca rexistów belgijskich, Degrelle. Obu ich uważa Martin-Chauffier za ewangelicznych przekupniów w świątyni. Sięga zresztą głębiej jeszcze: w najbardziej ponure mroki dziejów Hiszpanii. Już to półwysep iberyjski zawsze obfitował w fakty nadużyć i wypaczeń pryncypiów chrześcijańskich.

„Wyprawa krzyżowa przeciw niewiernym Maurom: ekspansywna wojna polityczna. Apostolat antyżydowski: przetrząsanie sakiewki. Nawracanie za pomocą stosów: operacja policyjna. Czyż nie widzicie nieczystych i odległych źródeł „wyprawy krzyżowej" przeciw „marksistom"?

Martin-Chauffier uważa bowiem za dwa zasadnicze błędy:

1) „... mieszanie demokracji z komunizmem, aby zjednoczyć przeciw Republice Hiszpańskiej wszystkich tych, dla których marksizm stał się straszydłem,
2) „mieszanie rebelii z katolicyzmem, aby przyciągnąć do boku generała Franco, a bardziej ogólnie. faszyzmu, katolików zagranicznych..."

Dużą wagę posiadają też dla autora „Catholicisme et rébellion" pewne momenty natury politycznej. Nawarra jest jedyną prowincją — stwierdza on — gdzie rebelia pobudziła lud do powstania. Powstali tam karliści. Ale poza tym wyjątkiem nie widać, aby naprawdę istniały dwie Hiszpanie: rządowa i antyrządowa. Natomiast łatwo zauważyć, że na terenie Hiszpanii mocarstwa faszystowskie chcą kontynuować politykę, która znalazła swój „dobitny" wyraz w zaborze Abisynii. Martin-Chauffier przeprowadza dalej inteligentną analogię: wielkie demokracje Zachodu są wobec najazdu włosko-niemieckiego na półwysep iberyjski równie niezdecydowane, jak w obliczu inwazji włoskiej w Etiopii. Impotencja londyńskiego „Comité de coordination des mesures de non — intervention dans les affaires espagnoles" przypomina do złudzenia niemoc byłego komitetu sankcyj w Genewie.

Z cytowanych przezeń wypowiedzi wybitnych osobistości zwraca uwagę deklaracja przywódcy katolików baskijskich, Don José Antonion Aguirre, skierowana do rządu Republiki i Frontu Ludowego.

„Uważam za słuszne wykazać, że nasz Kraj Bas-

ków, że my wszyscy, jesteśmy z wami, przeciw imperializmowi i faszyzmowi, a to z przyczyny naszych zasad ściśle chrześcijańskich i katolickich. I bądźcie pewni, że jesteśmy i pozostaniemy lojalni, z całego serca, przy waszym boku. Chrystus nie wybrał bagnetu ani armaty dla zdobycia świata. Zdajemy sobie sprawę ze wszystkiego, co zawiera wasz ruch proletariacki prawdziwego i sprawiedliwego. Czy naprawdę masy, które ciągną za wami, stanęły po stronie utopii? Nie. Walczycie, podtrzymywani przez zapał i wsparcie mas robotniczych, które domagają się odnowienia zgniłego społeczeństwa. Ruch chrześcijański, jak, nasz, usprawiedliwia postęp socjalny...."

Ciekawe uwagi zawiera też opinia b. ministra monarchii, przywódcy ruchu chrześcijańsko-społecznego, Angel'a Ossorio y Gallardo. Przyznał on, że Republika hiszpańska zawsze respektowała wolność wyznania. Wprowadzając laicką oświatę do szkół publicznych, zatwierdzała ona równocześnie naukę religii w szkołach prywatnych. Zdecydowała rozwiązać Towarzystwo Jezusowe i znacjonalizować jego dobra, ale nie zamierzała wypędzać Jezuitów z granic kraju, jak to np. uczynił w Hiszpanii Karol III.

Martin-Chauffier cytuje również zdanie słynnej Pasionarii, która wyraziła się, że „odwaga, z jaką niższy kler Kraju Basków podtrzymuje ludność przy naszym boku jest czymś godnym podziwu". Ale najciekawsze jest może samo zakończenie „Catholicisme et rébellion". Autor wylicza tam szereg morderstw, dokonanych na osobach protestantów hiszpańskich przez najemników rebelii.

„... Te egzekucje są okropne same w sobie. Lecz znajduje się tu jeszcze ten ponury naddatek okropności, że wszyscy zamordowani protestanci, wszyscy ci, których się więzi i prześladuje, są gnebieni jako heretycy i w imię wiary katolickiej. Ta straszna uzurpacja, to oszustwo płynące z zarozumiałości, ta krwawa hipokryzja, kładąca na rachunek Chrystusa przestępstwa dokonywane w Jego imieniu, a wbrew Jego doktrynie, powinna sama wystarczyć, aby odstręczyć każdego chrześcijanina od partii, o której można powiedzieć, że jest tajemnym (intime) wrogiem Boga i wkrada się podstępnie do Kościoła, aby go pustoszyć od wewnątrz".

Autorowi „Catholicisme et rébellion" nie sposób odmówić ani głębokości ujęcia tematu, ani trafności poszczególnych sądów.

Zygmunt Jarosz

Do przyjaciół „Epoki".

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „EPOKI"

W mroku gwiazd

Pięćdziesięciolecie pracy poetyckiej Tetmajera *oraz dwudziesta* rocznica śmierci Tadeusza Micińskiego kierują myśl naszą ku tej epoce, kiedy poezja polska zbudziła się po przydłuższej drzemce i rozkwitła całym szeregiem dzieł, dziś przeważnie nie czytanych, lecz oczekujących chwili zmartwychwstania w pamięci inteligentnego ogółu. Miciński był jednym z czołowych twórców w tym okresie i niewątpliwie jego najbardziej typowym, choć nie najwyższym, przedstawicielem. Charakteryzuje go gorączkowa gonitwa za prawdą, namiętne pożądanie syntezy - absolutu, zupełna niezdolność do poprzestania na jakimś, ćwierć lub półosiągnięciu. „Wszystko, albo nic", głosi każdy wiersz jego poezji; żaden z ówczesnych twórców nie pragnął tak gorąco, jak on, by dzieło jego było „oknem na absolut", że pozwolimy sobie użyć modnego wówczas wyrażenia.

Zastosowane przez nas słowo „gonitwa", określa dobrze charakter pracy Micińskiego. Od Wed i Upaniszad, poprzez eleuzyńskie tajemnice mitologii greckiej, przez gąszcza legend średniowiecza i sag skandynawskich, aż do sielankowo-naiwnych wierzeń pra-słowiańskich — duch jego przedzierał się nieznużenie, poszukując rozwiązania dręczącej go zagadki bytu. Wiersze jego i powieści roją się od bóstw egzotycznych bohaterów i świętych, pomieszanych tak dziwacznie, że czytelnik ulega złudzeniu, iż zabłąkał się w ostępach dziewiczego lasu, gdzie oplatają go i duszą giętkie, a mocne jak żelazne pręty, łodygi cudownie barwnych, lecz tchnących odurzającą wonią kwiatów. Piękne to jak sen pod wpływem haszyszu i jak sen taki wyczerpujące.

Chwilami zdaje się, że autor puścił poprostu wodze swej arcybogatej a nieposkromionej wyobraźni; lecz przy uważniejszym wczytaniu się przekonywamy się, że zjawisko jest bardziej złożone: gdy fantazja poety szaleje, myśl jego pracuje jednocześnie niestrudzenie, wiąże i rozprzęga sprzeczne pierwiastki, usiłując stworzyć z nich gmach jednolitej, świat cały ogarniającej syntezy. Lecz budowla rozpada się, jak domek z kart: brak jej podstaw, tęcze poety nie wspierają się na granicie, misterium jego twórczości odbywa się „w mroku gwiazd", w zawierusze dróg mlecznych i nie zrodzonych jeszcze światów, wysoko ponad ziemią...

Tragedia Micińskiego jest tragedią całej „Młodej Polski", stanowiąc, jak już wspomnieliśmy, najbardziej charakterystyczny w dziejach tej ostatniej epizod. Dlatego też zatrzymaliśmy się nad nią dłużej. Teraz z kolei należy zastanowić się nad przyczyną tego zjawiska, ile że wiąże się ono ściśle z dziejami narodu i nastrojem całej ówczesnej epoki.

Cechą naczelną pokolenia, zrodzonego w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia, było, jak to słusznie zauważył Brzozowski, poczucie odosobnienia we własnym społeczeństwie, obcość w stosunku do wszystkiego, co je otaczało. Światoburcze porywy romantyzmu utonęły w krwawej kąpieli 63 roku, huczący wodospad myśli polskiej popłynął wązką, leniwie szemrzącą rzeczką, zdolną co najwyżej do obracania kół przybrzeżnych młynów, gdzie mełły się ziarna i plewy, t. zn. „pożytecznych", a na krótką metę obliczonych poczynań i zamierzeń śmiertelnie wyczerpanego narodu. Zmniejszyć się, zdrob-

nieć, zniknąć z widowni, nie razić niczyich oczu, nie prowokować nowych ciosów — oto cel, jaki postawiło sobie wchodzące w życie pokolenie po ostatecznym stłumieniu powstania styczniowego. Trzeźwość stała się hasłem, — wkrótce istna mania trzeźwości ogarnęła naród...

Ten, tak naturalny po obfitym krwi upuście, stan prostracji i osłabienia, dostrajał się znakomicie do ogólnego tonu, panującego w całej Europie ówczesnej. Odwieczna sojuszniczka nasza w sprawach kultury, Francja, po haniebnym doświadczeniu Sedanu, przechodziła przez identyczny niemal kryzys; zwycięskie Niemcy oddawna zerwały już z wszelką romantyką i szły naprzód, depcąc wszystkie prawa boskie i ludzkie, Anglia i Rosja nigdy nie bawiły się w romantyzm; kościół katolicki, ogłosiwszy dogmat o nieomylności, nie żywił najlżejszego zamiaru tworzenia krucjaty na rzecz słabych i zwyciężonych, a po wstąpieniu na tron Leona XIII wszedł stanowczo na drogę kompromisu z koalicją możnych tego świata. Indyferentyzm religijny szerzył się nagminnie: w filozofii zapanowały materializm i pozytywizm, w sztuce — naturalizm, w polityce — kanibalizm, w życiu — karierowiczowstwo. W kuchni czarownic, zwanej „historią", w pocie czoła warzono dekokt trujący, który pijemy do dnia dzisiejszego i pić będziemy przez czas jeszcze zapewne niemały.

W takim klimacie duchowym, w siódmym i ósmym lat dziesiątku ubiegłego stulecia, przyszło na świat i rozkwitło pokolenie, które z czasem stworzyło pod nazwą „Młodej Polski" nowy kierunek literacko-społeczny. Przez dziwny jakiś kaprys losu pokolenie to w niczym prawie nie przypominało pozytywnie nastrojonych swych ojców: wrażliwe, nerwowe, fantastyczne, od kolebki już trawione melancholią i beznadzieją, bliższe było swych romantycznych proprzodków: Renégo, Werthera, hr. Henryka, niż współczesnych sobie bohaterów pozytywistycznych, torujących sobie dość bezceremonialnie drogę „zębami i pazurami" przy dźwięku hymnu, jaki im śpiewał „huk młotów i turkot maszyn". Rozszczep między ojcami i dziećmi uwidocznił się już od pierwszych kroków, jakie postawili młodzi na stadionie literackim. Pierwsze opowieści Żeromskiego tchną tak ponurym pesymizmem, że wszelkie skargi i wyrzekania pisarzy poprzedniego okresu wydają się czczym lamentem rozkapryszonego dziecka; Tetmajer rozpoczyna swoją pracę poetycką od hymnu do poezji, gdzie konstatuje z goryczą, że jest ona już tylko fikcją; „Ruinom podobne serce moje — ruinom bezkształtnym i ogromnym", woła Miciński w pierwszym swym zbiorku, charakteryzując tymi słowy nie tylko siebie, lecz i rówieśników swoich. Nie trudno było przewidzieć, że twórczość z tego tonu zaczynających poetów, nie będzie odą, hymnem lub epopeją, lecz twardą, bezlitosną i, być może, tragicznie beznadziejną walką o nowe prawa, nowe wartości życiowe.

Nowe wartości — tak! lecz skąd je wziąć?!

Tworzyć nowych wartości nie można: twór jest zawsze niższym, uboższym w treść od swego twórcy, jak część mniejszą jest od całości. Korzyć się przed własnym tworem — to składać na ofiarę całopalną całość swego „ja" jego cząstce. Dlatego też człowiek szukał zawsze wartości ponad sobą w sferach, których istnienia ledwie się domyślał; stąd płynie moc i nieodparta sugestywność wszelkich religii i objawionych, a więc danych z góry....

Spragnione objawień, „spalone od ogniów wiecznych", jak mówi Żeromski, pokolenie młodopolskie próżno szukało tych wartości w spadku ideowym po swych ojcach. Dużo tam było pięknych rzeczy, brakło tylko tego, czego przede wszystkim pożądali najmłodsi: „ogniów wiecznych", nie znalazłbyś i śladu! Świat jawił się oczom pozytywisty pod postacią machiny dość prostej, zmontowanej na podstawie kilku t. z. „praw przyrody", rozumie się: „niezłomnych" i rządzonej przez te prawa. Wszelkie niespodzianki, wpływ woli ludzkiej — wykluczone były z góry. Było się cząstką czegoś, jakąś bezwolną i nieodpowiedzialną sprężynką w ogólnym mechanizmie bytu i na tym należało poprzestać. „Reszta była milczeniem..."

Tej korekty pragnęli właśnie młodzi nade wszystko. Nic a nic nie imponowały im materialne zdobycze wiedzy, cuda techniki, perspektywa błogiego bytowania w obrębie trzech wymiarów. Jak wypłoszone z gniazda ptaki dusze ich ważyły się na skrzydłach nad otchłanią, nie znajdując miejsca, kędy mogłyby spocząć w ciszy i ukoju. Nic — tylko lot i lot bez końca, wieczyste kołowanie w beznadziejnej pustce z bolesnym w sercu przekonaniem, że przyjdzie chwila, gdy znużone pióra odmówią posłuszeństwa i runie się głową na dół w jakąś przepaść bez dna i bez granic...

Takim był patos młodo-polskiej twórczości już w samym swym założeniu!

I, koniec końcem, smutnym był los całego tego pokolenia... Urodzeni w wieku niewiary i krytyki, zatruci już w kolebce jadowitym ich tchnieniem, nie znajdowali twórcy ówcześni w swej duszy ani jednej dziewiczej nietkniętej przez analizę idei. Sami zaś stworzyć takiej idei nie mogli, nie posiadali na to dość geniuszu: byli tylko gromadką powołanych, a tu potrzebny był wybraniec nie na ludzką miarę. Mieli przeciwko sobie całą myśl europejską, na wręcz odmiennych wspartą podstawach, a zbrojną od stóp do głów w niezliczoną mnogość argumentów: filozoficznych, naukowych i życiowych. Przezwyciężyć ją, a przynajmniej wybić w niej wyłom, otwierający widok na nowe horyzonty — było to zadanie nad siły dla największego choćby człowieka. Życie tylko, wieczny a nieubłagany korektor ludzkich błędów i obłędów, dokonać mogło tego dzieła. Zasługą wszelako „Młodej Polski", jej wieczystym tytułem do chwały w myśl zasady, „in magnis voluisse sat est", pozostanie sama chęć, sam wysiłek wyzwolenia prawdy ze szklanej trumny, w której ją zamknięto na wieki. Z tego punktu rzecz rozpatrując, przyznać musimy, że myśl młodopolska świetnie spełniła swe zadanie, jakkolwiek poczęta w osamotnieniu, z własnego jeno serca czerpiąc moc twórczą, przepłynęła górą jak obłok niesiony wiatrem, nie wiele tylko użyczywszy kropel rosy spragnionym wargom ziemi...

Dr. Tadeusz Stępniewski.

Wznowić czy zapomnieć?

Wymiana zdań w sprawie Stanisława Brzozowskiego co raz odżywa. Padają znów oskarżenia przeciwko Zmarłemu, przeciw jego oskarżycielom, przeciw jego obrońcom. A ten, co przeczyta cały nagromadzony materiał prawdopodobnie dochodzi do przekonania, że tajemnica została nierozstrzygnięta — tajemnica tragiczna, tajemnica, która nie pozwala pozbyć się zastrzeżeń względem tego, w kim chciałoby się widzieć wielkość.

Jest tajemnica ta czymś ohydnym, jest brudem, co kala wielki szmat naszej przeszłości, co usiłuje błotem oblepić najwznioślejsze ideje, rzucane ręką magnata myśli.

I dla tego ośmielam się powrócić do sprawy ze stanowiska jej spółczesnego — rozważyć jej okoliczności, nie dokumentalne, nie wydrukowane lub pozostające w rękopisach, ale inne, które żyły w nastrojach, a mimo to były może bardziej istotne od wszystkiego, co nazywamy faktami. Może z treści tego wystąpienia wyniknie, dla czego nie śpieszyłem z jego ogłoszeniem. Są to sprawy zbyt osobiste, by przychodziły łatwo.

*

Na wojnie rządzi strach. Nie tylko ten, co zjeża włosy na głowie wobec zajękliwego głosu pocisku. Nie tylko ten, co w ogniu wysusza gardło i słabi członki. To strach osobniczy. Walczyć z nim nie jest znowu tak bardzo trudno.

Jest jeszcze inny strach — strach zbiorowości. Ten nie zawsze objawia się w panice. Dyktuje on nieraz rzeczy stałe, dyktuje zasady. Sieć czat, broniąca oddział przed zaskoczeniem, maskowanie się, wszelkiego rodzaju środki ostrożności — są właśnie wynikiem tego strachu o zbiorowość. A najmocniej występuje on w stosunku do wywiadu, zwłaszcza wywiadu skrytego.

Lepiej dziesięciu winnych zwolnić, niż jednego niewinnego skazać — głosi jedna z kardynalnych zasad sprawiedliwości. I nie jest ona podyktowana przez „mdły humanitaryzm", tak często poniewierany w różnych kołach. To wynik najbardziej logicznego myślenia. Wypuszczenie winnego jest pomyłką, niedopatrzeniem, nieumiejętnością — skazanie niewinnego rodzi poczucie krzywdy i podrywa zaufanie do praworządności.

Na wojnie w sprawach szpiegowskich panuje odwrotna — nie pisana zasada: lepiej dziesięciu niewinnych powiesić, niż przez wypuszczenie jednego winnego narazić na niebezpieczeństwo tysiące żołnierzy, oddziały całe, a może i całą armję. Inaczej być nie może. Tu nie o oderwaną sprawiedliwość, ani o jej poczucie chodzi. Tu rozważa się co ważniejsze: jedno życie — czy ich wiele, czy sprawa sama? Wojna — to wojna.

*

Otóż przed wielką wojną naród polski, a raczej przedstawiciele jego woli wyzwoleńczej toczyli nieustanną wojnę z najeźdźcą, wojnę nieubłaganą. Walczyły pokolenia. W środowisko tych bojowników przenikał wróg przy pomocy szpiegów i zdrajców. W roku 1909-ym PPS, na której główny ciężar tych bojów spoczywał, przeżyła zdrady Harewicza, Sankowskiego, Tarantowicza. Sprzedawczyk, co zakradł się do szeregów walczących, czy osobnik słaby, znękany strachem i torturą, raz popchnięty do judaszowej roli, staczał się coraz niżej, pragnął zniszczyć wszystko, co go do odpowiedzialności mogło pociągnąć. Posyłali oni ludzi na szubienicę, do katorgi — niszczyli olbrzymie płaty organizacji, przechodzili po jej obszarach jako trąba powietrzna.

Trzeba było przeżywać te rzeczy, by je odczuć. To ból po stracie najbliższych przyjaciół i towarzyszy, to rozpacz poprostu z powodu zniszczenia nadludzkich wysiłków, to jakoby odepchnięcie wstecz od krainy wolności na całe lata.

Strzec organizację od tego rodzaju katastrof było najprymitywniejszym obowiązkiem, którego głos wzmagał i instynkt samozachowawczy każdego z bojowników.

To też każda wzmianka, że ktoś jest podejrzany o szpiegostwo wywołała jako odruch naturalny nie chęć sprawdzenia jej zasadności, ale zamknięcie się przed oskarżonym, by nie mógł dalej szkodzić. Wyrzucić go po za obręb stosunków międzyludzkich, ostrzec przed nim każdego. To był akt samoobrony, przejaw zbiorowego strachu organizacji.

Odruch ten złamał niejedno życie. Znam wypadki, kiedy bez należytego sprawdzenia oskarżenia wydawano wyrok i zgładzano człowieka. Znam wypadki, kiedy słowo szpieg, otaczało najniewinniejszą jednostkę nieprzebytym murem, odsuwało ją od wszystkiego. Jednego z najserdeczniejszych moich przyjaciół (dziś wysokiego urzędnika Rzeczypospolitej, odznaczonego krzyżami) napiętnowano jako trędowatego, rozwiązano komórki organizacyjne, do których należał. Rozpaczliwe wołania o sprawiedliwość nic nie pomogły, póki przypadkiem nie wyszła na jaw cała absurdalność plotki i okoliczności, w jakich powstała. Były wypadki samobójczej śmierci posądzonych niewinnie.

O tym trzeba pamiętać, mówiąc o sprawie Stanisława Brzozowskiego. Przeciw niemu stanął ten nastrój ludzi czynu, ludzi ruchu, ludzi poświęcenia i walki, ludzi, których nawet przeciwnicy musieli szanować, których legitymacją były więzienia i prześladowania, i trud bez granic i męka.

*

Zabieram głos jako jeden z tłumu, który w całej sprawie żadnej roli nie odegrał, który tylko widział i słyszał. Ale też jako jeden z tych, co gotowi byli wołać: „Skażcie! ukarajcie!" I gotów był wołać tak pomimo głębokiego szacunku dla pracy wielkiego myśliciela w imię tego strachu organizacyjnego, o którym mówiłem. I dla tego z najwyższym niedowierzaniem słuchałem upewnień o niewinności Brzozowskiego ze strony nieodżałowanej pamięci Edmunda Szalita, a z oburzeniem zgoła czytałem to, co w tej sprawie pisali Karol Irzykowski, Ostap Ortwin.

Toczyła się walka. Niesprawiedliwe oskarżenie krzywdziło ostatecznie jednostkę. Uwolnienie winnego otwierała mu drogę do szerzenia dalszych spustoszeń w kołach rewolucyjnych. To było w nas podświadomie, gdyż na cynizm otwartego posta-

wienia w ten sposób sprawy nikt się nie zdobył nawet wobec siebie samego. Ba! — do dziś dnia jeszcze nikt nie śmie się przyznać do tego, nikt nie śmie spojrzeć w oczy własnej małości, którą z pasją się zasłaniało, jako może na najbardziej wstydliwy punkt, punkt bolesny, z którego płynęło upokorzenie i gorycz. Trudno było i jest przyznać się do tego działaczom, którzy nie mają czasu na refleksje, którzy muszą je tłumić w sobie, by nie osłabiać czynu. A ci co stali na uboczu nie uważali za stosowne zabierać głosu. I dla tego właśnie bez żadnego patosu, bez bicia się w piersi, uważam za konieczne, jako ten, co stał na pograniczu między jednymi a drugimi, powiedzieć otwarcie, że we mnie (moje miano legion w tej chwili) jako w człowieku walki było i żyło to, co oskarżało Brzozowskiego, że było to, co go potępiało przed wyrokiem, co doszukiwało się jego winy we wszystkim, co szukało nawet w pracach jego wskazówek, że był zdolny do zdrady i zaprzańswa. Uważam za konieczne powiedzieć otwarcie, że w ten sposób ponoszę — wszystko jedno jak wielką, czy małą — część odpowiedzialności za potępienie go w pewnych kołach.

I oto dla czego sprawa ta jest dla mnie żywa. Jest to zagadnienie odpowiedzialności wewnętrznej, nad którą niewolno przejść do porządku ze względu na pamięć Człowieka, ze względu na wartość jego puścizny, ze względu na cześć mego pokolenia.

Pamiętajmy: przeciw Brzozowskiemu stanęło wszystko, co było w organizacjach rewolucyjnych — za nim wszystko istotnie postępowe, co było po za organizacją. Dla nas wystarczyły najmniejsze poszlaki, by go odsunąć. Oni stawali oburzeni, wobec kruchości poszlak, jakimi rozporządzała nasza strona. A z oskarżycielami — straszliwa jest losu ironia — sprzymierzyło się w tym wypadku całe wstecznictwo z zupełnie innych względów.

•

A Brzozowski sam? Zaledwie trzy lata wówczas minęło od chwili, kiedy endecja wytoczyła przeciwko niemu szereg oskarżeń. Wygłaszał on wtedy na zaproszenie Bratniej Pomocy Politechniki lwowskiej cykl odczytów. I oto w odpowiedzi na kalumnie runął protest — protest żywiołowy. Na kolejny odczyt przybyły tłumy, których obszerna sala „Gwiazdy" pomieścić nie mogła. Kwiatami zasypano wchodzącego — owacje były tak gorące, na jakie tylko młodzież umie się zdobyć.

Nikt z nas nie próbował dociekać, co było kiedyś, jaką to „zbrodnię" popełnił Brzozowski. Jego dzieło było czymś, czego wielkości nie mógł przesłonić jakowyś błąd życiowy nawet jeżeli był, nawet jeżeli winny miał powody do wyrzutów sumienia. Jak to? Pomyłka, przestępstwo ma zamknąć człowiekowi usta, które tyle ma do powiedzenia, mają wytrącić pióro z ręki temu, kto tyle może nauczyć? Młodzież wtedy, nie wdając się w osąd zarzutów, dała kredyt moralny Brzozowskiemu, kredyt nieograniczony.

A trzy lata — później — ci sami ludzie, te same sfery nie tylko ten kredyt zmazują, nie tylko wyciągają najbardziej intymne momenty życia, ale jeszcze, nie znajdując wystarczających potwierdzeń dla swych przypuszczeń, powiadają — udowodnij, żeś niewinien! Nie jemu trzeba było dowodzić winy, ale on musiał dowodzić niewinności. Pytano go za co kupił dziecku zabawki? Dlaczego mu na obiad nie brakło? Z każdego grosza musiał się tłumaczyć. Dlaczego? Bo oskarżał go — Bakaj — Bakaj, dotąd pracownik ochrany carskiej. On, Brzozowski, twórca, pisarz, on nie zasługiwał na wiarę, choć był tylko oskarżony o to, co ów oskarżyciel, Bakaj, czynił zawodowo przez szereg lat życia.

W samym zestawieniu z Bakajem czuć się musiał Brzozowski strąconym z wyżyny, na którą jego praca, jego talent, go wyniósł. I ta potworna krzywda wylała się w owym zwrocie do oskarżyciela wobec sądu — Kołosow panu się kłania. A Kołosowa wydał w ręce żandarmerii Bakaj — wydał nie pamiętam — na szubienicę czy śmierć w więzieniu.

I zwrot ten, wywołał „niesmak" i oburzenie. Jak to? zamiast się bronić Brzozowski używa „sztuczek adwokackich"?... Po co ten patos? Do rzeczy. I odebrano mu głos.

I dziś dopiero rozumiem tę próbę zmiażdżenia przeciwnika, na którą oburzałem się wtedy. Mogła ona w sędziach ówczesnych, (ludziach względem których zachowuję głęboki szacunek) w sędziach będących organem zwalczania wywiadu nieprzyjacielskiego — wywołać niesmak — ale nie wywoła go w czytelniku obecnym, który rozumie, że to nie fakty świadczyły przeciw Brzozowskiemu, ale nastrój, nastrój! Brzozowski nastrój odpierał nastrojem. Tylko nie docenił, że nastrój ten ma za podstawę strach, strach organizacyjny, strach podniesiony do potęgi cnoty, ustrojony w szatę interesu publicznego, dobra publicznego, występujący w aureoli Bezdan, Rogowa, Rejowca, Herbów, bohaterstwa Montwiłłów... Strach — to nie paradoks — konieczny, nieodzowny — zbawienny dla losów walki. I ta małość, która żyła nie po za nami, ale w nas samych stanęła z oskarżeniem.

To trzeba stwierdzić.

Nasze pokolenie miało wielkie szczęście zakończenia walki o niepodległość i jego przedstawiciele uważają za rzecz słuszną dyskontowanie tego szczęścia jako zasługi. Rzeczą sumienia każdego człowieka jest ocena własnych zasług o uznanie których pretenduje. Osobiście nie roszczę pretensji do żadnych. Jeżeli w czymś udział brałem, to w samym tym fakcie była aż nazbyt hojna nagroda. Są tacy, których zasługi zostały powszechnie uznane. I ja je uznaję i szanuję. Ale nawet największa zasługa nie stanowi uzasadnienia do zapominania o własnej małości.

Otóż dzisiejsze pokolenie ma prawo żądać od zwycięskich bojowników poprzedniego, by szczerze i uczciwie powiedzieli, że to co było w nich może nieodzowną—ale lichotą podniosło oskarżenie przeciw Stanisławowi Brzozowskiemu, że to co było najlichsze w zasłużonych skąd inąd i godnych ludziach kazało im z poszlak wątłych kuć broń do

Współpracownikami „Epoki" są nie tylko ci, którzy w niej piszą. Są nimi także ci wszyscy, którzy jej idee podzielają; którzy je propagują i rozpowszechniają.

wykluczenia go z życia; ma prawo żądać by szczerze i otwarcie powiedzieli, że wobec tego oskarżenie przeciw Brzozowskiemu nie istnieje. Że dziś jest on po za podejrzeniami i ponad podejrzeniami i byłby poza nimi, gdyby nie — strach. I nie będzie podejrzeń póki — w co nie wierzę — nie zostaną znalezione dowody. Tych szukać wolno każdemu, nie mającemu nic lepszego do roboty.

Wzamian za tę szczerość może uzyskamy zrozumienie tragicznego faktu sponiewierania jednego z najświetniejszych umysłów Polski przedwojennej. A jest rzeczą niesłychanie małoduszną żądać zapomnienia tej niespornej winy jedynie z tego tytułu, że się na innym polu wiele zdziałało. Albo dalej oskarżać już tylko po to, by siebie wybielić.

Adam Uziembło

Nowe nazwy - stare rzeczy

Ekonomika faszystowska

Czy z wewnętrznej natury faszyzmu dają się wysnuć jakieś określone zasady ekonomii faszystowskiej? — oto interesujące pytanie, które wymowy szczególnie aktualnej nabiera dziś, w dobie wzmożonej ofensywy ruchów, pieczętujących się włoską rózgą liktorską lub niemiecką swastyką.

Niektórzy sądzą, że odpowiedź na pytanie to nie jest trudna; że zasady takie wypływają z klasowego stanowiska faszyzmu, który w istocie swej jest niczym innym, jak opanowaniem — w drodze przymusu i gwałtu — władzy, sprawowanej przez jedną klasę społeczną nad wszystkimi innymi klasami. Ustalając tę jedną klasę, odnajdziemy niejako ośrodek, rozstrzygający o politycznych i gospodarczych dążeniach faszyzmu. Tu wszakże odrazu powstaje spór: jak tę rozstrzygającą klasę ustalić? — spór bardzo rozogniony, lecz mało wydajny. Czy klasą tą jest klasa kapitalistów? Czy może klasy średnie? Lub może połączenie niższych klas średnich z wyższą warstwicą proletariatu?

Zdanie o faszyźmie, jako o zjawisku czysto klasowym, wypływając z filozofii materializmu ekonomicznego, któremu zawdzięcza ono swe pochodzenie, brzmi bardzo ponętnie, kusząc swą perspektywą sięgnięcia wzrokiem poza obsłonę ideologiczną. Tu prawdopodobnie, należy szukać jednej z przyczyn ciekawego faktu, że te i tym podobne refleksy filozofii marksowskiej przeniknęły głęboko we współczesną filozofię polityczną. Jak niedawno z całym naciskiem swej powagi wykazał Benedykt Croce, koncepcja klasy panującej nie jest tym kluczem, który mógłby otwierać wszystkie zamki zagadnień myśli politycznej *). Zważywszy na rozbieżność, jaka zachodzi między troską o poszczególne interesy gospodarcze a rządami państwa, przyjść należy do wniosku, że samo pojęcie klasy panującej bywa nadzwyczaj zwodne. „Prawdziwą klasą panującą — powiada Croce — jest klasa kierownicza wraz ze swymi pojęciami religijnymi, filozoficznymi, moralnymi, jakiebykolwiek one były".

Teza ta jest słuszna również i w zastosowaniu do faszyzmu. Klasą istotnie rządzącą we Włoszech są faszyści, w Niemczech — narodowo-socjaliści, i — nikt inny. Ustaleniu tej prawdy nie przeczy bynajmniej fakt oczywisty, że na rzecz poparcia dla faszyzmu były uprzednio zmobilizowane interesy gospodarcze oraz uczucia pewnych klas. Niezgodne z prawdą byłoby tylko twierdzenie, że polityka ekonomiczna faszyzmu mieści się bez reszty w interesach pewnych klas określonych: struktura faszyzmu jest zbyt skomplikowana, aby dała się zamknąć we wzorach marksowskiej lub pół-marksowskiej filozofii. Dlatego to, stając wobec ustrojów faszystowskich, pytać należy nie o to, kto w nich jest klasą panującą, ale raczej: jakie są panujące idee faszystów oraz przeszkody, napotykane przez nich przy idej owych urzeczywistnianiu? Posunąwszy się o krok dalej, stwierdzić możemy, że, ponieważ panujące idee faszyzmu są gmatwaniną zracjonalizowanych uczuć i przesyconych uczuciem racyj, więc jaki-taki porządek osiągnąć można jedynie przez oddzielenie idej zasadniczych od przygodnych: pierwsze mają charakter międzynarodowy i powszechny, drugie — lokalny. Pierwsze i drugie — mniej lub więcej — splatają się ze sobą; jeśli zaś dodamy, że przeszkody, które faszyzm spotyka na drodze realizacji swych idej, bywają w różnych krajach różne, to przestaniemy się dziwić, że ekonomia faszystowska nie przedstawia żadnego stałego i jasnego programu.

Cóż bowiem innego oczekiwać możemy od kombinacji pierwiastków tak mnogich i tak niepochwytnie zmiennych, gdy jednocześnie idee kierownicze mają charakter mgławicowy, a przeszkody, które się piętrzą na ich drodze, zmieniają się w zależności od miejsca i momentu?

Zauważono, mimo to, że rządy faszystowskie dokładają wszelkich usiłowań, aby — naprzekór chwiejnym metodom swej bieżącej polityki gospodarczej — wywołać wrażenie stałości, odwagi i konsekwencji w działaniu; wrażenie, że zmierzają drogą dobitnie wytkniętego kierunku i że drogowskazy tego kierunku stanowią nieoceniony wkład w dzieje cywilizacji. Aby spotęgować to wrażenie, fabrykują one terminy mniej lub więcej pompatyczne dla rzeczy raczej pospolitych i zawieszają nowe szyldy na dawnych instytucjach ekonomicznych, pozostawiając bez zmiany ich budowę. Niepodobna, na przykład, zaprzeczyć, że słynna „Karta Pracy" („Carta del Lavors") z takim hałasem rozgłoszona we Włoszech w roku 1927, nie ma, w rzeczywistości, nic wspólnego z wielką rolą, jaką jej przypisywano. Jej rzekomo rewolucyjny, wiekopomny charakter zestawiano z „Deklaracją praw człowieka i obywatela" z r. 1789, gdy tymczasem w istocie rzeczy, poza ogólnikami tego pokroju, że praca stanowi powinność społeczną i t. d., i t. d., nie zawiera ona w sobie nic innego prócz postanowień, dotyczących związków zawodowych, sądów pracy i temu podobnych urządzeń i postanowień, które odnaleźć można w ustawodawstwie wszystkich innych krajów. To samo powiedzieć można i o „Państwie Korporacyjnym („Lo Stato Corporativo"), które w repertuarze ogłoszeń faszystowskich od pewnego czasu zajęło miejsce „Kar-

*) B. Croce „Orientamenti", 1934.

ty Pracy", jako motyw, uważany snadź za efektowniejszy i bogatszy w rezonans reklamowy.

Czym-że jest to włoskie „Stato Corporativo", w Niemczech opiewane znów jako „Ständischer Aufbau"? Jeśli weźmiemy pod uwagę, że właściwie istnieje ono tylko na papierze, że praca nad jego budową sprowadziła się do przemianowania istniejących związków ekonomicznych i zamiany ich uprzednich władz przez zaufańców partii rządzącej, zgodzić się wypadnie, że „Państwo Korporacyjne", jak dotąd, jest tylko pewnym wymysłem terminologicznym, pewną nową nazwą w słowniku politycznym, i — niczym więcej. Co więcej, licząc się z górującą w faszyźmie tendencją, możnaby powiedzieć, nie grzesząc zbyt złośliwym sarkazmem, że cała polityka gospodarcza faszyzmu jest polityką wynajdywania nowych nazw na stare, bardzo stare, rzeczy i metody.

Wilhelm Roepke.

Wydarzenia i dokumenty

POD WPŁYWEM PSYCHOZY

Na zjeździe Związku Adwokatów Polskich większość delegatów wypowiedziała się za wprowadzeniem „paragrafu aryjskiego" w adwokaturze. Wywołało to entuzjazm prasy antysemickiej. O uchwałach Z. A. P. i poklasku rodzimych hitlerowców pisze słusznie *„Robotnik":*

„Ten cały Związek Adwokatów Polskich — to organizacja wspólna Str. Narodowego, O. N. R. i prawicy obozu „sanacyjnego". Całe towarzystwo jest — że tak powiemy — dobrane. Cóż dziwnego, że uchwalono na tym ich zjeździe własne postulaty? Nikt nie będzie wymagał, by adwokaci ze Str. Narodowego uchwalali coś innego, niż wskazania Str. Narodowego.

Niema to wszakże nic wspólnego z adwokaturą polską, jako całością. Prawdziwa adwokatura polska składała w tym samym czasie, pod auspicjami Stanisława Patka, wspaniałego kierownika polskiej obrony politycznej przed trzydziestu laty, słowa wdzięczności Leonowi Berensonowi, wielkiemu polskiemu obrońcy w 30-tą rocznicę jego obrończej pracy.

W tych słowach wdzięczności dla Leona Berensona mieściła się rzeczywista treść idei Polskiej adwokatury.

Naprawdę — polskiej; tej, która nie ulega wpływom żadnych czynników... zewnętrznych".

Na zjeździe Związku Lekarzy Państwa Polskiego zapadły uchwały antysemickie. Oceną tych uchwał zajął się *„Głos Powszechny"*, którego uwagi, poniżej przytoczone, całkowicie podzielamy:

„Zawód lekarza ma do pewnego stopnia charakter misyjny, wymaga wysokich wartości naukowych i moralnych. Lekarz przynosi ulgę cierpiącym. Jeśli lekarze poszli na lep prymitywnego, ekonomicznego antysemityzmu, haseł poprostu konkurencyjnej walki, to jest to bolesny cios dla odłamu społecznego, który walczy z ciemnotą i zacofaniem.

Dziś lekarz uchwala, że kolega Żyd nie jest sprzymierzeńcem w walce z cierpieniem, a jutro — może odwróci się od cierpiącego Żyda, który potrzebuje nagłej pomocy.

Reakcja endecka, która dziedziczy w niepodległej Ojczyźnie po czarnej sotni spadek „graduszczago chamstwa", od kilku lat wszczepia społeczeństwu nienawiść rasową. Zatrucie przenika do wszystkich komórek naszego organizmu społecznego, ale kto jak nie lekarze, ludzie nauki i rozumu, byli powołani do walki z tym jadem.

Niestety, lekarze poszli na lep tych haseł. Wyrządzili cywilizacji polskiej wielką krzywdę.

Sądzimy, że póki lekarze chcą spełniać swoją kulturalną i humanitarną misję — to powinni zawrócić z drogi, na którą weszli nieopatrznie i pod wpływem obecnie szerzącej się psychozy".

„BASKOWIE NIE ULEGNĄ"

Dziennik tuluski *„La Depeche"* ogłosił interesujący wywiad z przedstawicielem kraju Basków w rządzie Larga Caballera, ministrem Manuelem Irujo. Oto fragmenty jego oświadczenia:

„Atakuje nas armia złożona z 80 tysięcy ludzi, trzystu armat i stu dwudziestu aeroplanów. Kieruje operacjami sztab główny rezydujący w Deva. Sztab ten jest prawie całkowicie niemiecki. Liczy tylko dwóch czy trzech dowódców włoskich. Lotniska w Vittoria, Recajo i San Sebastian zapełniają setki mechaników i pilotów niemieckich. Obok 14.000 karlistowskich „requetes", dobrze obznajmionych z terenem, armia wroga rozporządza ośmiotysięczną dywizją włoską, sześcioma tysiącami żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, trzema czy czterema oddziałami kawalerii i piechoty marokańskiej. Resztę, czyli większą część, stanowią żołnierze zwerbowani w Galicji — o dość słabej wartości bojowej. Informacje powyższe otrzymaliśmy od jednego z oficerów niemieckich, który dostał się do niewoli".

„Armia baskijska potrafi zwycięsko stawić czoło piechocie nieprzyjacielskiej. Rząd Euzkadi zdecydowany jest na wszystko... Żołnierze baskijscy będą walczyli do ostatniego tchu... Jeśli nieprzyjaciel zwycięży, co uważamy za niemożliwe, to zatknie sztandary na górach popiołów, ruin i trupów... Baskowie nie ulegną. Euzkadi wytrwa w blasku swego ducha bohaterskiego i swej tysiącletniej kultury".

ODDAĆ N. D.-CJI CO ENDECKIE

Raz po raz jesteśmy świadkami, jak stara endecja broni się od zarzutu, że w swojej żydożerczej robocie nie jest oryginalną i że tylko niewolniczo naśladuje pomysły hitlerowskie. Żżyma się na każdego, kto nie chce przyznać jej w tym względzie palmy pierwszeństwa lub wątpi o jej szczególnych zdolnościach twórczych w dziele krucjaty antyżydowskiej. Przez miłość prawdy oddajmy endecji co endeckie. Przyznajmy więc, że na długo przed hitleryzmem głosiła ona hasła, które swym obskurantyzmem raziły nawet ponurą reakcję rosyjską. Jeden z jej filarów, biskup Eulogiusz w mowie swojej, wypowiedzianej jeszcze w 3-ej Dumie dn. 24 listopada 1911 r. dał temu wyraz najbardziej chyba wiarogodny: „Członek Dumy Dymsza powoływał się na najpoddańszy raport prezesa rady ministrów z 17 października, w którym była mowa o zrównaniu wobec prawa wszystkich poddanych, niezależnie od wyznania i narodowości. Gdyby takie oświadczenie było zrobione przez przedstawiciela partii wolności ludu (ówczesnych demokratów rosyjskich t. zw. kadetów, przyp. red), to bym to zrozumiał. Ale jeszcze wczoraj w imieniu Koła Polskiego Jaroński oświadczył, że żydom nie należy dawać równouprawnienia. Oto macie polską logikę. Kiedy idzie o Polaków, to dajcie im pełnię praw, a kiedy idzie o innych, to „nie pozwalam". Innych nie wahają się „zginać w barani róg", i nie tylko żyda, ale także chłopa ruskiego".

Biskup prawosławny Eulogiusz, ostoja krwawego caratu i napastniczej reakcji rosyjskiej, dający lekcję logiki i humani-

taryzmu naszym „narodowcom", oto piedestał chwały endeckiej a jednocześnie zwierciadło historii, w którym snadnie przejrzeć się dziś mogą podpory naszego wstecznictwa.

Prof. Jan Baudouin de Courtenay w swoim odczycie, wygłoszonym w Warszawie dn. 7 lutego 1913 r., a więc ćwierć wieku temu, do powyższych słów biskupa dodał komentarz, który w pewnym sensie i dziś posiada swoją szczególną wymowę:

„Biskup Eulogiusz miał zupełną słuszność, jeno że powinien był wyciągnąć dalsze konsekwencje, nie ograniczając się Żydami i Polakami. „Bojkotowcy" i zwolennicy ograniczeń dla Żydów twierdzą, że im wcale nie chodzi o ucisk Żydów. To wcale nie ucisk, to tylko obrona. Prawami wyjątkowymi i procentami bronią się oni przeciw nawale żydowskiej. Tak samo hakatyści bronią się przeciw Polakom, nacjonaliści rosyjscy przeciw „inorodcom", w tej liczbie przeciw Polakom. I jeszcze jedna konsekwencja logiczna. Dziś walczą tu dwa obozy: „polski" i „żydowski". Ale pobudka bojowa może rozbrzmiewać także w kierunku innych przecięć nawarstwień społecznych. Rzeź galicyjska r. 1846 była jednym z dowodów, że jeszcze zaciętszą może być walka „Chama" z „Jafetem", aniżeli „Jafeta" z „Semem". Gilotyna wielkiej rewolucji francuskiej działała w innym swoistym kierunku. Może być rzucone hasło: „tępić każdego szlachcica", „tępić każdego burżuja"! Historia wtedy znakomicie się upraszcza".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Ludwik Krzywicki: Społeczeństwo pierwotne. Jego rozmiary i wzrost. Wydawnictwo Kasy Imienia Mianowskiego — Instytutu Popierania Nauki. Warszawa 1937.

Juliusz Wit: Lampy. Poezje. Warszawa 1937. Gebethner i Wolff.

Olgierd Górka: Naród a Państwo jako zagadnienie Polski. Skł. Główny Instytut Wydawn. „Biblioteka Polska". Warszawa 1937.

Władysław Studnicki: Ludzie, Idee i Czyny. Warszawa 1937. Skład Główny u Autora, Mianowskiego 15.

Mieczysław Braun: Sonety. Warszawa 1937. Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

Ignacy Matuszewski: Próba Syntezy. Warszawa 1937. Biblioteka Polska.

Od wydawnictwa

Prosimy Czytelników, którym od pewnego czasu przesyłamy bezpłatne numery okazowe „EPOKI", o nadesłanie prenumeraty, jeśli życzą sobie nasze pismo otrzymywać nadal

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3752 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.